

„[...] Po wielu latach jakie upłynęły od tego czasu, wydaje się nam nieraz, jak gdyby był to jakiś sen, jakbyśmy to nie my, byli wówczas uczestnikami tamtych zdarzeń. **Podświadomie siła Boża każe nam mówić o tym czego byliśmy uczestnikami i przekazać młodym pokoleniom te fakty, aby nie uległy zapomnieniu i nie pokryły się na zawsze mgłą niepamięci; aby przeszły one do skarbniicy doświadczeń Narodu i aby ludzie biorący w nich udział, tym samym doczekali się właściwej oceny.** Nie znamy tego, co czeka nasz kraj w przyszłości. Patrząc na to do czego było zdolne moje pokolenie, patrząc na ten ogromny wysiłek włożony w obronę Polaków i Polski we wrześniu 1939 r., patrząc wreszcie na poniesioną ofiarę za wolność naszych dzieci i wnuków mam nadzieję, że dzisiejsza Polska nie zginie, jak nie zginęła przed 60 laty. Mam nadzieję, że Polska nie zginie nigdy. [...]” *Ppor. Czesław Życzko ps. „Orwid” w artykule: „Jeszcze Polska nie zginęła”*

WSPOMNIENIA CZESŁAWA I HELENY ŻYCZKO Z DOMU FURTAK Z KOLONII KISIELÓWKA W POWIECIE HOROCHÓW NA WOŁYNIU 1925 – 1944

Nazywam się Czesław Życzko mam 82 lata, mieszkam w miasteczku Czaplinek, przy ulicy Drahimskiej 12, powiat Drawsko – pomorskie, woj. Zachodniopomorskie. Urodziłem się w 1921 r. w kolonii Kisielówka, gm. Kisielin, powiat Horochów, woj. Wołyńskie. Mój tato Władysław Życzko był Polakiem, mama Rozalia z domu Wrońska, także była Polką i pochodziła ze wsi Markowicze na Wołyniu. Rodzina taty wywodzi się z Zamojszczyzny, a mamy od pokoleń z Wołynia. Tato urodził się już na Wołyniu bowiem mój dziadek Franciszek, był pracownikiem leśnym, u bogatego kupca Szapira, z pochodzenia Żyda. Dziadek razem z babcią Apolonią zamieszkali we wsi Przygłówka, gm. Werba, powiat Włodzimierz Wołyński i tam wychowywali swoje dzieci. Gdy hrabia Ledóchowski zaczął parcelować swoje majątki, w tym także ziemię w Kisielówce, mój tata Władysław i mama Rozalia wspólnie kupili ziemię, pod swój nowy dom. I tak to rozpoczyna się historia dziejów naszej rodziny, w tej właściwie polskiej kolonii.

Dla Królestwa Niebieskiego narodziłem się w kościele w Swojczowie, jeszcze kiedy posługiwał w naszej parafii ks. Kurowski. Moim ojcem chrzestnym był Polak z naszej kolonii Kisielówka o nazwisku Kosak. Bardzo go lubiłem bowiem był człowiekiem dobrym i pracowitym, a jako bliski przyjaciel rodziców często bywał w naszym domu. Po jakimś czasie rozpoczął gospodarzyć w okolicach polskiej kolonii Elizabetpol. Niestety wdał się w spór z miejscowym dziedzicem ziemskim. I kiedy razu pewnego, na polu kosił zboże, nadjechał ów dziedzic i zarządził, aby Kosak zaniechał swojej pracy. Nie wiem do końca, jak to było, ale prawdopodobnie dziedzic sprowokował Kosaka, który rzucił się na niego z kosą. Wszystko skończyło się dla niego tragicznie, bo mój ojciec chrzestny, został tam wtedy zastrzelony. Sprawa ta była głośna w naszej okolicy, a ja sam dowiedziałem się o niej, od moich rodziców. Żona Kosaka ostatecznie otrzymała tę ziemię i już jako wdowa, gospodarzyła na niej, wraz ze swymi obiema córkami, w tym z Adelą. Nie wiem, co się z nimi stało, podczas wojny, czy zdołali przeżyć, ten straszny czas. Moją matką chrzestną była Polka z kolonii Jadwigów o nazwisku Cygar, była najlepszą koleżanką mojej mamy. Ona i jej rodzina przeżyli czas ludobójstwa i wyjechali do Polski, gdzie osiedli ostatecznie we wsi Dębina, koło Kłodawy w Poznańskim.

Do kościoła naszego było około 3 km, udawaliśmy się tam w każdą niedzielę, całą naszą rodziną, najczęściej furmanką, a na kilka lat przed wojną, mieliśmy już nawet swoją bryczkę. Pamiętam, że nasz kościół był bardzo duży, murowany i piękny, a w Ołtarzu głównym znajdował się łaskami słynący Obraz Matki Bożej

Śnieżnej. Lubilem się tam bardzo modlić, tym bardziej, że na miejscu tym, już przed wojną ludzie doświadczali wielu cudów, a nawet uzdrowień. Matka Boża zwykle była przesłonięta innym obrazem, ale dziś już nie pamiętam, jaka tematyka była na tym wizerunku uwieczniona. Gdy rozpoczynała się msza święta, odzywały się dzwoneczki i to był sygnał dla mnie i innych wiernych, że mamy uklęknąć i rozpocząć pieśń na powitanie naszej Królowej. Już po chwili mogliśmy podziwiać piękne lica Królowej ze Swojczowa. Do dziś pamiętam, że po lewej stronie Obrazu, znajdowały się liczne wota, w tym liczne różańce i większe i mniejsze. A sam wizerunek otoczony był kwiatami w kolorze złotym, rzeźbione były, bądź malowane i były niejako ozdobą. W kościele po lewej stronie znajdowała się ambona, z której ks. Franciszek Jaworski wygłaszał swoje piękne kazania. Mówił zawsze donośnie i dość wyraźnie, dlatego chętnie go słuchano. Często chodziłem na nasz kościelny chór, gdyż podobało mi się, jak nasi chórzyci śpiewali i nawet sam niekiedy śpiewałem z nimi. Nie należałem jednak do samego chóru, gdyż z mojego domu, było trochę za daleko chodzić na pruby. Chór który prowadził nasz organista, składał się z około 15 osób w średnim wieku i był damsko – męski, wydaje mi się, że w tej grupie, był także Polak Kazimierz Rynkiewicz.

W Swojczowie przeżyłem wiele pięknych uroczystości religijnych i patriotycznych, najbardziej jednak zapamiętałem Odpusty, których było dwa. Pierwszy wypadał 15 sierpnia na Matki Bożej Wniebowziętej, ten trwał tylko jeden dzień, drugi przypadał 08 września, w dzień Narodzenia NMP. **Ten drugi Odpust był szczególnie uroczysty i trwał prawie trzy dni. W naszej świątyni gromadzili się w tych dniach wierni z całej naszej dużej parafii, a piesze pielgrzymki przychodziły, nawet z oddalonych miast i miejscowości.** Dla przykładu osobiście widziałem „Kompanie” idące traktem z miasteczka Łokacze. Pielgrzymowano zwykle pieszo, choć pamiętam i takie grupy, które przybywały konno, a ponieważ wszyscy konni mieli jednakowe, białe, płócienne przybranie, robili niesamowite wrażenie. Ten obraz mocno zapisał się w mojej pamięci, tak mocno, że niekiedy wyciska żywe łyzy radości, po dziś nawet dzień. Inne Kompanie przybywały z Kisielina, Oździutycz, z Włodzimierza Wołyńskiego, z czeskiego Kupiczowa, a także z wielu innych miejscowości.

Z kolei w Łokaczach Odpust, był na św. Antoniego z Padwy 13 czerwca i bywałem tam osobiście, z całą rodziną wiele razy. Ponieważ byłem dzieckiem chorowitym, moja mama Rozalia, wiele razy zabierała mnie z tatem na Odpust, aż do Horodła nad Bugiem, gdzie znajdował się Ołtarz św. Jacka, słynący z licznych uzdrowień. Jeździliśmy tam naszą furmanką, poza tym rodzice zabierali nas także na Odpusty, nawet do tak oddalonego Beresteczka. **Lubiliśmy pielgrzymować i lubiliśmy modlitwę. W naszym domu, kiedy to było tylko możliwe, wspólnie klękaliśmy do modlitwy, a szczególnie wieczorem na koniec dnia.** Moja mama choć nie umiała czytać bowiem jako sierota nie miała pieniędzy na kształcenie, jednak potrafiła pięknie tańczyć i śpiewać, szczególnie pieśni religijne. Telenty te nie skrywała, ale potrafiła się dzielić nimi z innymi, tak że do naszego domu przychodziło wielu chętnych, by posłuchać i uczyć się od niej, także dobrze śpiewać.

NASZA PARAFIA ŻYŁA EUCHARYSTIĄ

Ksiądz Franciszek Jaworski po objęciu parafii w Swojczowie zrezygnował z części gospodarstwa, które pozostawił proboszcz Kurowski. Za uzyskane środki rozbudował zadanie dla pielgrzymów. Przy Kościele stała też duża i piękna Kaplica, w której podczas Rezurekcyj, czy też podczas wrześniowego Odpustu, kiedy to gromadziły się wielkie tłumy, również odprawiano nabożeństwa. Kaplica znajdowała się po lewej stronie świątyni, była murowana, pomalowana na biało, a w środku znajdował się piękny Obraz święty. Msza w kaplicy pomyślana była, z myślą

o wiernych, stojących przy kościele i w parku, który obejmował niemal 0.5 ha, rosły tam przeważnie lipy. Fronton kaplicy nie był zabudowany, a jedynie wsparty dwoma filarami. Odpust wrześniowy, to było zawsze wielkie wydarzenie nie tylko religijne, ale także ważne spotkanie rodzinne. Już na 07 września do naszego domu zjeżdżała się duża nasza rodzina z Zaturzyc, z kolonii Markowicze, z Wólki Sadowskiej oraz Wólki Szelwowskiej. W kolonii Markowicze urodziła się moja mama Rozalia, około roku 1905. Wszyscy przybyli goście nocowali u nas, a wczesnym rankiem szykowali się na uroczystą sumę Odpustową. Po zakończonych uroczystościach wracaliśmy do domu razem i rodzice podejmowali obiadem naszych gości. Było bardzo radośnie, dużo śmiechu, wspomnienia, nowiny, a przy tym wszystkim pieśni, przeważnie religijne. Ja w tym czasie najczęściej pozostawałem przy stole z dorosłymi bowiem żywo interesowałem się wszystkim, co się właśnie dzieje w naszej okolicy oraz tym, co pochłaniało uwagę mojej rodziny.

W dniu Odpustu rozkładało się ze swoimi straganami wielu przeróżnych handlarzy, a furmanki zostawiano na pobliskiej łące proboszcza. Przy kościele tworzył się w tych dniach, jeden wielki jarmark, a można tam było kupić naprawdę wszystko, czego tylko dusza pragnęła, przeważnie pamiątki i dewocjonalia, ale nie tylko. Interes kręcił się dobrze, także dzięki ustnej tradycji, że jak na Odpuście, to już trzeba coś kupić i w kościele zaraz poświęcić, tak by do domu z pustymi rękoma nie wracać. **Najwięcej radości miały oczywiście dzieci i młodzież, które jak zwykle opychały się słodyczami i namawiając rodziców na przeróżne zabawki. Przy kościele można było spotkać rozśpiewanych kataryniarzy, pamiętam nawet kręcącą się karuzelę. Ciekawostką był syberyjski wilk, którego można było oglądać za jedyne 10 groszy. Jednego razu więc skusiłem się i zapłaciłem, by zobaczyć tego wilka z Syberii i rozczarowałem się bowiem moim oczom ukazało się zwykłe duże psisko, które żarło kość, zupełnie jak na moim podwórku. Niestety proszących o jałmużnę, też nie brakowało i najczęściej można ich było spotkać na schodach, prowadzących do naszej świątyni.**

Moja pierwsza Komunia Święta odbyła się w naszym kościele w Swojczowie, było tego dnia pięknie i słonecznie. Pamiętam, że miałem granatowe ubranko, jak wszyscy chłopcy, natomiast dziewczynki, były przebrane na biało. Było nas dużo dzieci, może nawet dwadzieścioro oraz nasze rodziny. Msza święta była bardzo piękna, przyjąłem po raz pierwszy Pana Jezusa do serca i czułem się bardzo szczęśliwy, jakby bardziej duży, choć jeszcze nie dorosły. Po nabożeństwie wróciliśmy furmankami do domu, a tam było małe rodzinne przyjęcie. Upłynęło kilka lat i zostałem włączony w misję kościoła Chrystusowego, w pełnym tego słowa znaczeniu, przyjmując sakrament Bierzmowania z rąk księdza biskupa. Razem ze mną do sakramentu przystąpiło, wielu moich kolegów i koleżanek z mojej klasy szkolnej. Ciekawostką jest to, że wspólnym świadkiem, dla nas wszystkich, był pan Jackowski z kolonii polskiej Apanowszczyzna, jako przedstawiciel grona rodzicielskiego. To również była piękna uroczystość, podczas której przyjąłem imię Wacław.

Jak już wspominałem, moja rodzina należała do grona tych, które pobożnie przeżywały swoją wiarę, dlatego dziś mam bardzo bogate wspomnienia religijne. A ponieważ nie sposób opisać wszystkich świąt, skupię się tylko na tych najważniejszych, takich jak: Boże Narodzenie, Zmartwychwstanie Pańskie, Zielone Świątki, Niedziela Palmowa, Trzech Króli, czy Boże Ciało. Pamiętam dla przykładu, **że przed świętem Zesłania Ducha Świętego nasza mama pięknie ubierała, stroiła mieszkanie różnymi brzołowymi gałązkami oraz ścieliła nasze podwórze i chodniki prowadzące do domu tatarakiem. Kilka takich gałązek zostawiało się zwykle także w kuchni bowiem tatarak wydzieliał specyficzny, niezwykle miły i**

delikatny zapach. W naszych stronach był to zwyczaj niezwykle popularny, osobiście chodziłem na stawy w naszej okolicy, zbierałem i przynosiłem tatarak do domu. Poza tym zbieraliśmy z mamą i braćmi ziele na łąkach, które razem z owocami święciło się potem w swojczowskim kościele. Była to tradycja praktykowana przez wszystkich Polaków w naszej parafii. **Z kolei na Boże Ciało robiliśmy z mamą wianuszki z kwiatów i ziół takich jak: rozchodnik, rumianek i wiele innych jakich na Wołyniu nie brakuje. Po poświęceniu zawieszano się je w domu i tak zasuszone, pozostawiano na czas choroby.** Gdy ktoś zachorował mama spalała zioło, według swego zwyczaju i przykładała do chorych naszych ciał, muszę dziś wyznać, że czasami nam to pomagało. Dużo by jeszcze można pisać, jednak najpiękniejsza była procesja wokół kościoła. Zawsze na Boże Ciało, wraz z całym kościołem po mszy świętej, chodziłem raz albo trzy razy, do około świątyni. Tego dnia w procesji niesiono sztandary, święte figury i obrazy, małe dziewczynki wdzięcznie sypały kwiatki, z tłumu wyróżniała się Akcja Katolicka, młode dziewczyny zawsze ubrane w białe bluzeczki.

ŚWIADECTWO SZKOLNE I ŻOŁNIERSKIE POWOŁANIE

W Swojczowie Akcja Katolicka rozwinęła się do dość dużych rozmiarów, należało do niej wiele osób, przeważnie dorosłych, choć także pokaźna liczba starszej młodzieży. Jest mi wiadomo, że mieli swoją świetlicę, która znajdowała się w budynku, tuż obok poczty. Bywałem tam nie raz z przyjaciółmi, gdy Akcja Katolicka miała właśnie swoje spotkania organizacyjne. Pamiętam, że na te spotkania przychodziło wiele osób, rozmawiano i dyskutowano na przeróżne tematy, śpiewano pieśni religijne. Sam jednak nie zapisałem się do Akcji bowiem, już byłem zaangażowany w działalność szkoleniową i patriotyczną w organizacji Przynależności Wojskowej „Strzelce” oraz Obrony Narodowej. Organizacja ta miała swoją siedzibę we wsi Tumin w naszej szkole, a zaprzyjaźniona świetlica znajdowała się w kolonii polskiej oddalonej tylko 2 km w Ledachowie. Mieściła się w domu Polaków państwa Pochnańskich. Komendantem naszej organizacji wojskowej „Strzelce” był polak Bolesław Ferenc, który pochodził z naszej kolonii Kisielówka.

Do organizacji wstąpiłem w klasie szóstej szkoły powszechnej, ponieważ miałem dobry przykład starszych moich kolegów ze szkoły, z których prawie wszyscy należeli do tej organizacji. Jeżeli ktoś nie należał, to był zazwyczaj jakiś lewus, jakiś nieudacznik. Poza tym ważną rolę odegrali nasi nauczyciele, w tym Nowak i Skrzypczak, którzy byli oficerami Wojska Polskiego w stopniu podporuczników w stanie rezerwy. Tak oto nauczanie w naszej szkole łączyli z patriotycznym i wojskowym zarazem, wychowaniem naszego pokolenia, za co do dziś jestem im głęboko wdzięczny. Myślę, że właśnie tamte doświadczenia uratowały mi, nie raz życie w późniejszym etapie życia partyzanckiego. Jednak **najważniejszy udział w kształtowaniu mojej osobowości, cnoty zaradności i męstwa miał mój tata Władysław. Jako były Legionista, służył pod rozkazami samego marszałka Józefa Piłsudskiego, jako członek elitarniej organizacji polskiej „Krakusy”** był dla mnie wzorem i wyzwaniem, aby go naśladować. Imponowało mi, że tata ma swojego konia bojowego i kultywuje najlepsze tradycje żołnierza polskiego. Do dziś pamiętam piękny mundur z czerwonymi lampasami, który ojciec przywdziewał na wszystkie większe uroczystości patriotyczne.

Szczególnie mocno wryły się w moją pamięć obchody narodowego Święta 3 Maja oraz 11 Listopada. W tych dniach w Swojczowie organizowane były uroczystości patriotyczne, ale ja i moja rodzina uczestniczyliśmy w podobnych obchodach organizowanych w szkole w Tuminie. W Święto narodowe 3 Maja na naszej scenie szkolnej, były deklamowane przez dzieci wiersze, poświęcone pamięci uchwalenia Konstytucji 3 Maja oraz jej twórcom. I ja także wiele razy występowałem

na scenie, poza tym przygotowywaliśmy jako uczniowie różne przedstawienia. Byliśmy oglądani z wielkim zainteresowaniem nie tylko przez nauczycieli, rodziców, przychodzili by nas zobaczyć, nawet mieszkańcy Tumina i najbliższych okolic. A z jednym przedstawieniem, to jeździliśmy nawet, do innych miasteczek i zarabialiśmy drobne pieniążki. Ja też byłem w tej grupie i miałem na sobie przebranie górala, który przy ognisku śpiewał, wraz z innymi góralami tak:

*„Czerwony pas, za pasem broń
i topór co błyszczy z dala
wesola myśl, wspaniała dłoń
to strój to życie górala
tańczą pruto, czeremuszo
Hucułom przygrywa, a wesola
Kolomyjka do tańca przygrywa
Dla Hucuła nie ma życia jak na
Poloninie, gdy go losy w doły
Rzucą wnet z tęsknoty ginie.”*

Była też uroczysta Akademia, po której w naszej szkole urządzano zabawę taneczną, wszyscy się wesolo bawili, ja też umiałem tańczyć bowiem i tańca uczono w naszej szkole. Nauczycielami grupy tanecznej byli Ci sami, znani już Nowak i Skrzypczak. Podobny przebieg miały uroczystości, z okazji odzyskania niepodległości przez Polskę, organizowane 11 listopada każdego roku. Przy czym program przygotowywany był, już z myślą wywalczenia suwerenności. Była także w Tuminie skromna defilada, w której brała udział nasza szkoła, organizacje społeczne, po której organizowano różne zawody sprawnościowe. **Ja najbardziej lubilem strzelać do celu z broni i biegać krótkie dystansy. Nie raz wygrywałem różne nagrody, a nawet za I miejsce w strzelaniu z karabinku do tarczy z 50 m.** otrzymałem zegarek OMEGO. Byłem tego dnia bardzo z siebie dumny. Jest mi wiadomo, że podobne uroczystości, choć w większym wymiarze, miały miejsce w Swojczowie.

Ponieważ Swojczów to był już inny powiat, nasze powiązania ograniczały się tylko do większych uroczystości religijnych, przy naszej wspólnej parafii. Dla przykładu nasz pluton zawsze, brał udział w uroczystościach Zmartwychwstania Pańskiego. Podczas Rezurekcji, za zgodą księdza proboszcza, gdy tylko zaintonował pieśń: „*Wesoły dziś dzień nam nastał...*” – paliliśmy z lufy! Podczas mszy świętej staliśmy w szeregu, po dwóch bądź czterech, byliśmy także obecni podczas procesji wokół świątyni. Trzeba przyznać, że wzbudzaliśmy żywe zainteresowanie wśród dzieci i młodzieży i właściwie, o to w tym momencie właśnie chodziło.

W sobotę rano, gdy rodzice mieli pełne ręce roboty, ja i moi koledzy i koleżanki szliśmy z koszyczkami święcić pokarmy wielkanocne. W tamtych czasach była u nas żywa tradycja, że pokarmy mięsne można było spożywać dopiero po Rezurekcji. Zatem niekiedy wracając do domu, skubnęliśmy nieco ukradkiem tej kielbaski bowiem, tak niezwykajnie mieniła się nam w oczach. Po niedzielnych uroczystościach w kościele, zaraz wracaliśmy do domu i zasiadaliśmy do wspólnego stołu. Zazwyczaj jako pierwszy życzenia składał tata, potem już my wszyscy życzyliśmy sobie wszystkiego, co najlepsze, a przede wszystkim Bożego błogosławieństwa. Tradycyjnie na początek należało spróbować potraw poświęconych.

Poniedziałek Wielkanocny to był dzień na który czekałem cały rok i skoro tylko się obudziłem, zaraz biegłem do naszej studni, gdzie stała już woda przygotowana poprzedniego dnia. Marny los tego, którego dopadłem pierwszego, ale największą radość mieliśmy z kolegami z podlewania pańienek na naszej

kolonii. Z kolei świętami na które czekałem cały rok, były święta Bożego Narodzenia. Na kilka dni przed, tata przynosił z lasu choinkę, którą pięknie ubieraliśmy na dzień przed świętami. Lubiłem robić różne ozdoby choinkowe, dla przykładu gwiazdki, figurki, także pająki, były w naszych stronach bardzo popularne, na tamten czas nikt nie znał jeszcze ozdobnych bombek. W Wigilię tata robił snopek zboża „Króla” i stawiał go w koncie mieszkania, gdzie stał stół wigilijny. Potem w kłosy zboża składało się poświęcony przez ks. Franciszka opłatek wigilijny. Wieczorem była już tradycyjna, polska i rozśpiewana wigilia, szczególnie dużo śpiewało się kolęd z „Kantyczki” – gruba książeczka z religijną pieśnią. A na Pasterkę do Swojczowa to jechała cała nasza rodzina.

W naszych stronach było dużo kolędników, chodzili z gwiazdą, królem Herodem, była z nimi śmierć, diabeł rogaty, koniecznie Anioł i Żyda też mieli zwykle ze sobą. Takie grupy zachodziły do naszych chat, śpiewały kolędy i dawały małe przedstawienia o narodzeniu Pana Jezusa. Ja też chodziłem kolędować i to nawet często, przebierałem się zwykle za króla Heroda, a bywało że grałem Żyda. Potraw na stole musiało być tradycyjnie dwanaście, w tym „kutia” – to była parzona pszenica z makiem i miodem oraz innymi słodyczami, a do tego racuchy. Mi najbardziej smakowały racuchy posypane cukrem. Zatem **w domu byliśmy wychowywani na dobrych, polskich tradycjach, tak aby służyć Bogu i ojczyźnie. Była także żywa tradycja podtrzymywania głębokiego szacunku dla najbliższych, a szczególnie rodziców, do których zwracaliśmy się nie inaczej jak tylko mamusiu, tatusiu. Pragnę podkreślić, że było to powszechne w naszych stronach**, nieliczne były rodziny, gdzie mówiono mamó, tato. Gdy niekiedy o tym wspominam i myślę to wciąż widzę, że było to bardzo piękne, ale niestety dziś, już raczej rzadko spotykane.

Moje dzieciństwo było spokojne, radosne i właściwie beztrudne. Miałem dwóch młodszych braci Feliksa z roku 1925 oraz Longina z roku 1929. Mieliśmy wielu kolegów i koleżanek w naszej wsi i to nie tylko Polaków, ale także Ukraińców, Żydów i Niemców. Wspólnie bawiliśmy się całymi godzinami i nie było wtedy między nami żadnych zdrażeń, nie przypominam sobie, aby Ukraińcy wyzywali wtedy polskie, czy żydowskie dzieci, tym bardziej, by nam grozili. Nie biliśmy się, żyliśmy w pokoju i w zgodzie. Podobnie nasze rodziny, żyły w jak najlepszej zgodzie, niejednokrotnie łącząc się w małżeństwach, tworząc nowe rodziny i nowe społeczeństwo. Do szkoły chodziłem do wsi Tumin, która była zamieszkała w większości przez ludność ukraińską. Pomimo to w szkole uczyliśmy się po polsku, języka ukraińskiego, jako przedmiotu nie było. Także ze szkoły mam właściwie same dobre wspomnienia i nie mogę powiedzieć, złego słowa na mieszkańców Tumina przed wojną.

TRAGICZNA KAMPANIA WRZEŚNIOWA

01 września 1939 r. był dniem słonecznym i pięknym. Właśnie w tymże dniu Polska zostaje napadnięta przez wojska hitlerowskie, bez wypowiedzenia wojny. Na niebie pojawiają się samoloty ze znakami swastyki, które zrzucają bomby na polskie miasta, wsie oraz poruszające się oddziały polskich żołnierzy i ludność cywilną. Hitlerowskie wojska przekraczają granicę Polski w różnych miejscowościach, atakują z lądu i od strony morza, dzielnie broni się załoga Westerplatte pod dowództwem majora Henryka Sucharskiego. Będąc żołnierzem I Kompanii pod dowództwem por. Władysława Marciniaka, która wchodziła w skład I Samodzielnego Batalionu Obrony Narodowej dowodzonego przez mjr. dypl. Wytycha i będącego częścią 24 Pułku Piechoty Łuck, walczyłem z Niemcami przesuając się z Kompanią w kierunku Lwowa. Tam następuje odwrót. Docieramy do Rawy Ruskiej i okolicy. 23 września 1939 r. napotykamy tam na silny opór wojsk niemieckich. Walczy tam kawaleria pod dowództwem płk. Filipowicza, która zadała Niemcom cios pod Czestochową. Walczy

również płk. Zakrzewski ze swoim wojskiem. W tych ciężkich walkach w dniu 23 września ponieśliśmy duże straty w ludziach i sprzęcie, ale i Niemcom nieźle się oberwało. Po zakończeniu walk zabraliśmy z pola walki swych żołnierzy. Rannych umieściliśmy u miejscowej ludności, a zabitych pochowaliśmy we wspólnej mogile. Był to ostatni dzień naszej walki bowiem przyszedł meldunek, że droga na Lwów jest niemożliwa, ponieważ tereny są zajęte przez wojska radzieckie. Nasze wojska zostają sierowane do lasów szczebrzeszyńskich. Tam zostaje złożona przysięga i odczytany rozkaz przez dowódców, na mocy którego oddziały zostają rozwiązane. Od tej chwili każdy żołnierz jest dla siebie dowódcą i może podejmować dalszą walkę z wrogami. Zasłużonych żołnierzy odznaczono krzyżami *Virtuti Militari*.

W lasach szczebrzeszyńskich przebywaliśmy do 26 września 1939 r., właśnie w tym dniu nasz batalion rozbroił się i nastąpiło ogólne pożegnanie z dowództwem. Mój dowódca por. Władysław Marciniak zobowiązał nas do dalszej walki z okupantem, aż po dzień kiedy Polska będzie wolna. Apelował by wiernie stać na straży żołnierskiego symbolu i zachować wiarę, zakończył: Bóg, Honor, Ojczyzna.

Pod koniec września 1939 r. wróciłem z frontu do domu w naszej kolonii, tego dnia wielka radość była w naszej rodzinie. Kto mógł wtedy przypuszczać, jak ciężkie doświadczenia nas jeszcze czekają, póki co było spokojnie i nie było żadnych rozruchów. Ukraińcy zachowywali się spokojnie i nie było z nimi żadnych problemów. Faktem jest jednak, że wkraczających na Wołyń Sowieci Ukraińcy witali kwiatami i stawiali im bramy powitalne. Miało to miejsce przeważnie na szosie Łuck – Włodzimierz Wołyński i było o tym głośno w naszych stronach. Tymczasem Sowieci sprawnie zaprowadzili swoje rządy i od roku 1940 rozpoczęli wywozić ludzi na Syberię, bardzo poważnie obawiałem się, by i mnie to nie spotkało. Pamiętam jedną taką koszmarną noc w naszej okolicy, to było 10 lutego 1940 r., wiele osób wtedy zabrali. Z Kisielówki na „białe niedźwiedzie” wywieźli polską rodzinę Ferenców, blisko 10 osób oraz inną polską rodzinę Kadłubców, w tym dzieci: Marysię i Edmunda. Znałem ich osobiście ze szkoły w Tuminie. Poza tym zabrano także rodzinę Gnatiuka, który był gajowym hrabiego Szumińskiego oraz rodzinę Kowalskich, duża to była rodzina. Dodam, że ja tej zimy pracowałem w lesie przy drzewie, zatrudniał mnie leśniczy Czeraniuk z Dominopola.

CZERWIEC 1941 I OKUPACJA HITLEROWSKA

Pamiętam dobrze jak na Wołyń wkroczyli Niemcy, na ten czas mieszkałem w naszym rodzinnym domu, a życie toczyło się bardzo spokojnie. Ukraińcy nie stanowili jeszcze poważnego zagrożenia, dla naszej polskiej społeczności, chociaż wielu Polakom nie podobało się, że Ukraińcy kwiatami witali hitlerowców. Słyszałem, że taki przypadek miał miejsce w Tuminie, dlatego choć na razie nie atakowani, Polacy nabierali z wolna, coraz większej nieufności wobec zmiennych Ukraińców. Poza tym dobrze pamiętano, że Ukraińcy rozbijali naszych żołnierzy w 1939 r., którzy wracali z wojny, zdarzały się i morderstwa. Było o tym dość głośno w naszych stronach. Koniecznie trzeba zaznaczyć, że zaraz na początku powstała policja ukraińska, która wysługiwała się Niemcom i typowała młodzież polską na przymusowe roboty do Niemiec. Trafiło się i mi i latem zostałem zabrany do szkoły w Oździutyczach. Tam przenocowaliśmy, a potem odstawili nas do obozu jenieckiego w okolicach miejscowości Boroczyce, powiat Chorochów.

Tam trzymali mnie i wielu innych moich kolegów z naszego rejonu blisko dwa tygodnie. Gdy już był podstawiony pociąg z towarowymi wagonami i ładowali nas całymi grupami, ja szukałem okazji by uciec, bardzo nie chciałem jechać do Niemiec. Już byłem w wagonie z walizką, gdy dostrzegłem, że niedaleko jest studnia z wodą, a przy niej stoi żuraw. Niewiele się namyślając, poprosiłem od stojących obok dziewczyn trzy butelki i pobiegłem nabrać wody. Niemiec mnie zatrzymał, ale

pozwoił nabrać wody z tym, że ja nie bardzo się spieszyłem z tą wodą, wyczekiwałem momentu nieuwagi Szwaba, aby zaraz skoczyć, gdzieś w bok. Taki moment się nadarzył i już za chwilę, byłem za stodołą, ktoś strzelał, ale nawet nie wiem, czy do mnie prulem, ile miałem sił w nogach. Do pobliskiego lasku, było tylko 300 metrów, bałem się że któraś kula w końcu mnie dosięgnie. Na szczęście cały dotarłem do pierwszych drzew i tu poczułem się dość bezpiecznie, mimo wszystko pobiegłem w głąb lasu. Po pewnym czasie przestraszony i bardzo zmęczony, położyłem się niemal nagi przy pniaku i tylko nasłuchiwałem, jak mocno bije mi serducho. Nagle zobaczyłem, że nade mną stoi trzy osoby i pochyleni patrzą na mnie. Zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć ja, jak poparzony zerwałem się na równe nogi, chwyciłem swoje rzeczy i uciekałem, gdzie mnie wiatr poniosł. Była tam ścieżka, a oni chyba mnie przypadkowo naszli, było to około godziny 14.00-15.00. Teraz szedłem już przez cały dzień i przez całą noc i nad ranem doszedłem do mojego domu rodzinnego w Kisielówce. Nie miałem już jednak spokojnego życia, ale stale musiałem się ukrywać. Po jakimś czasie, podczas mojej nieobecności w domu, policja ukraińska zabrała na roboty do Niemiec mojego brata Feliksa.

PRÓBY ORGANIZOWANIA SIĘ POLAKÓW

Pamiętam, że latem 1942 r. pod wieczór, byłem właśnie w swoim domu, byli moi rodzice oraz goście Polak Stanisław Ferenc lat około 40 i Hipolit Niemiec również Polak, zwany potocznie „Rudym”. To byli nasi najbliżsi sąsiedzi z Kisielówki, którzy przyszli do nas, aby porozmawiać o obecnej sytuacji w naszym rejonie. Wspólnie naradzaliśmy się, jak postępować w coraz bardziej napiętej sytuacji bowiem, coraz częściej słychać było, że giną pojedynczy Polacy, prawdopodobnie skrytobójczo mordowani przez Ukraińców. **Szczególnie niepokojące było to, że ofiarami padali najczęściej ludzie wykształceni, inteligencja polska, nauczyciele, oficerowie i byli wojskowi. Zatem ogólnie rzecz biorąc wyglądało na to, że Ukraińcy dążą do zgładzenia, jak największej liczby patriotów polskich.** Podczas tego spotkania padały najróżniejsze propozycje, aby się zacząć organizować i próbować stworzyć swoją własną, choćby prowizoryczną samoobronę. I gdy my tak właśnie rozważaliśmy, nagle ktoś zapukał do drzwi i po chwili do domu weszło trzech lub czterech Ukraińców. Kiedy jednak zobaczyli czterech rosyłych Polaków za stołem, tak byli zaskoczeni, że trudno im było ukryć zmieszanie, zaczęli pytać o mnie! Jeden z nich Ukrainiec z Tumina o nazwisku Siańko, chodziłem z nim trzy lata do jednej szkoły i znaliśmy się dobrze, on to właśnie zobaczył mój wojskowy chlebak na ścianie. Zaczął z miejsca namawiać mnie, bym mu chlebak sprzedał, w końcu jednak sam zdjął chlebak ze ściany, a do mnie powiedział: „*On już tobie nie będzie potrzebny!*” . Teraz zaczęli mnie bardzo namawiać, abym wyszedł z nimi na dwór bowiem chcą ze mną pomówić. Zgodziłem się i wyszliśmy na drogę, gdy oni wzięli mnie w kółko, ogarnęło mnie jakieś złe przeczucie. Zacząłem się poważnie obawiać, że mogą mnie tu zgładzić, na szczęście blisko nas podeszli także tatuś, Stach i Hipol. To były mocne i potężne chłopcy, dlatego ci młodzi Ukraińcy dali sobie spokój, ale na odchodne rzucili krótko: „*Spotkamy się jeszcze!*” . Po ich odejściu, już długo nie rozmawialiśmy i nasi goście wrócili do swoich domów.

Od tej pory miałem się już na baczności przed Ukraińcami, tym bardziej że miałem ukrytą broń. Zacząłem się ukrywać, tak że najczęściej nie było mnie w domu. Przeważnie nocowałem, u swojej narzeczonej Heleny Furtak, która również mieszkała w naszej kolonii Kisielówka, choć około 300 metrów w pole, od głównej drogi. Chowałem się w stogu siana, w kopkach zboża i na strychu w ich domu. Taka sytuacja trwała do zimy 1942 r., kiedy właściwie nic nie ulegało zmianie, nadal ginęli pojedynczy Polacy. Poza tym ludność ukraińska, która знаła nas od lat, zachęcała nas, abyśmy nie próbowali organizować jakichś kontaktów bowiem one nie są potrzebne.

Nawet niektórzy, co pobożniejsi Polacy w naszej kolonii i okolicy byli zdania, że nie należy nic organizować, co mogłoby rozjuszyć Ukraińców i tylko jeszcze zaognić i tak już napięte nasze wzajemne stosunki. Ludzie ci uważali, że to mogłoby nawet zakończyć się rozlewem krwi, którego Polacy nie chcieli. Więc my młodzi i przeszkoleni żołnierze, mieliśmy wtedy niejednokrotnie związane ręce i niełatwo było, już wtedy podjąć jakieś konkretne działania w celu organizowania zbrojnej samoobrony ludności polskiej. Po prostu nie było wtedy takiej potrzeby społecznej, a nikt z nas w najczarniejszych nawet scenariuszach wydarzeń nie przypuszczał, by za niedługi czas rozjuszone i pijackie watachy zbójów, miałyby przyjść i pod ukryciem nocy, z zaskoczenia wyrzynać całe polskie osiedla. To było wprost nie do pomyślenia! I nawet w tamtych dniach, proroka takich wizji uznano by powszechnie za chorego na „ukraińską wściekliznę”, a może i więcej: za wariata!

Zima 1942 r. nie wiele wniosła nowego, a wszystko nieco przycichło może także dlatego, że zimy na ogół, są dość spokojne. Przy czym nawet wtedy nie opuszczał nas strach, który był już naszym stałym towarzyszem wołyńskich losów. Boże Narodzenie 1942 r., jak się miało później okazać, ostatecznie już na Wołyniu, przeżywałem z moją rodziną w naszym domu w Kisielówce. Owszem baliśmy się, ale atmosfera tych tak pięknych Świąt, nieco pomogła nam odpocząć. Jak co roku śpiewaliśmy dużo kolęd, choć może w smutniejszym tonie, brak brata Feliksa zabranego na roboty do Niemiec, dawał nam się wszystkim we znaki. I jak co roku, także i teraz tatuś zaprzegnał bryczkę i pojechaliśmy na Pasterkę do naszego kościoła w Swojczowie. Względny spokój trwał więc przez całą właściwie zimę, aż do wiosny 1943 r..

BANDEROWCY NASILAJĄ PRZEŚLADOWANIA

Pamiętam, że wiosną 1943 r., po tym dość spokojnym czasie, nagle wśród ludności polskiej rozeszła się pogłoska, że Ukraińcy prowadzą jakieś wojskowe ćwiczenia w lesie Świnarzyńskim. Osobiście w końcu kwietnia gdy rano wyprowadzałem krowy na nasze pastwisko, słyszałem jakieś dzwonki, strzały karabinowe, jakieś rozkazy wojskowe, a przede wszystkim śpiewy. Już wtedy wiedziałem, że to Ukraińcy ćwiczą swoich ludzi. Przyznam szczerze, że wcale nie dodawało mi to otuchy, ale rodziło jeszcze większy strach. Ukraińcy byli już postrzegani przez, co światlejszych i doświadczonych Polaków, jako niebezpieczni wrogowie i tylko niektórzy nadal twiedzili, że nie podniosą ręki na nas.

W tym właśnie czasie, może nawet w tym samym tygodniu, poszedłem na spotkanie do pewnej Polki. Mieszkała w naszej kolonii, w dawnym domu Niemca Herszta, wywiezionego do III Rzeszy w roku 1940. To było jeszcze za dnia, zebrało się około 10 osób, rozmawialiśmy o naszym, coraz trudniejszym położeniu. Nagle nasza gospodyni Zosia krzyknęła do mnie: „*Czesiek dwóch Ukraińców z karabinami czolga się do naszego domu!*”. Spojrzałem i rzeczywiście zobaczyłem ich, czułem że nie ma na co czekać, drugim oknem wyskoczyłem na dwór, a tam przez zarośla i łąkę skryłem się w lasku olchowym. Poleżałem tam trochę, a następnie wróciłem do domu, jeszcze w tym samym tygodniu, może nawet następnego dnia rano, udałem się do lasu Chorostowskiego. Był tam duży 10 ha sad owocowy, należący do hrabiego Szumińskiego, który mieszkał w Tuminie. Hrabia był zięciem hrabiego Leduchowskiego z Ledachowa. Osobiście znałem dwóch synów hrabiego, w tym Michała, który po wojnie prowadził przez lata program w telewizji „Zwierzyniec”. Ogrodnikiem był Polak o nazwisku Maruda lat ok 45, mieszkał na miejscu w gajówce. Słyszałem później pewną informację, że został zamordowany wraz z żoną lat około 40 oraz z ich dziećmi.

Tego dnia orałem przez cały dzień i nie wiedziałem, co się dzieje w naszym domu. Tymczasem do naszego domu pod koniec dnia przyjechali uzbrojeni Ukraińcy

na kilku furmankach i otoczyli nasz dom. Jako pierwsza zobaczyła ich Helena Furtak, która właśnie wracała drogą od krawcowej, od Polki i sądziła, że to goście, podobnie myśleli nasi sąsiedzi: Mikulscy i Głogowscy. Tymczasem jeden z tych Ukraińców wszedł do naszego domu do kuchni, gdzie była mamusia i od razu zapytał o mnie. Kiedy mama zaczęła płakać, zaczął ją uspokajać i dobrodusznie tłumaczyć, jakoby nie miała się czego obawiać. Mówił tak: *„Nie płacz pani my jesteśmy kolegami Czesława z lat wojny z 1939 r. i chcemy z nim jedynie porozmawiać. My wrócimy za dwie godziny i proszę mu przekazać, że chcemy się z nim zobaczyć.”* . Zabrali się i pojechali gdzieś dalej, ledwie 10 minut później, nadjechałem ja wozem na podwórko i od razu zobaczyłem splakaną mamę, która opowiedziała mi wszystko, co właśnie u nas zaszło. Od razu zorientowałem się, że to jakiś podstęp, że chcą mnie dziś załatwić, podobnie sądzili moi rodzice. Wiele nawet się nie przebierałem, zabrałem broń i udałem się przez drogę do mojego przyszłego teścia Furtaka. Tam oczekiwałem na dalszy rozwój wypadków, nie mogłem tej nocy spać, także Helena i jej rodzina w napięciu oczekiwali na to, co się może teraz wydarzyć. Po około dwóch godzinach rzeczywiście usłyszeliśmy, że turkoczą furmanki, które zatrzymały się przy naszym domu, potem była już cisza.

Na drugi dzień rano mój teść Furtak poszedł do naszego domu, aby wywiedzieć się, co się tam tej nocy wydarzyło. Okazało się, że i tym razem przyszli moi koledzy, tak przynajmniej się podawali, byli bardzo grzeczni i wypytywali się o mnie, interesowali się, co ja odpowiedziałem na ich wizytę. Kiedy nic nie wskórali pokazali swoje prawdziwe oblicze, przewracając w domu wszystko i zapamiętane szukając mnie i ukrytej broni. To jeszcze można było znieść, w końcu zapowiedzieli że przyjadą znów za tydzień, żebym wtedy już na nich czekał. Mówili już wyraźnie z pogroźkami tak: *„Niech syn na nas czeka, bo inaczej będzie gorzej!”* . Zabrali się i pojechali, tatusia na razie nie czepiali, póki co nie był im potrzebny. W tej sytuacji cały tydzień siedziałem u Furtaków, było w miarę spokojnie. W końcu przyjeżdżają trzeci raz, dwoma furmankami i z bronią. Ojciec bardzo przeżywał ten tragiczny czas i nie trzymała się go wcale robota, chodził tylko, palił tytoń i niespokojnie wyglądał, czy nie jadą znowu „rezuni”. On także nie wierzył w ich dobre zapewnienia! Dlatego gdy w końcu nadjechali rzucił się do ucieczki, niestety i tym razem było ich wielu, tak że udało się ojca złapać. Przede wszystkim przyszli jednak po mnie, ale ponieważ i tym razem się wymknąłem, więc wściekli się i zaczęli demolować dom, a przy tym dużo bluźnili. Tatuś opowiadał mi później, że początkowo uważnie pilnowali go na podwórku, potem zmusili go do udania się z nimi. Jak się później dowiedziałem, chcieli go w lesie skrytobójczo zamordować, ale udało mu się szczęśliwie uciec. Wyrwał się znad własnej, nieznanej mogiły, ale Ilu jest tam wciąż, po dziś dzień Takich, którym los był mniej łaskawy.

Mój tatuś Władysław tak opisuje to osobiście: *„W zieloną sobotę 1943 r. w trakcie zachodu słońca nasz dom, zostaje otoczony przez uzbrojonych napastników ukraińskich z zamiarem schwywania mego syna Czesława, ukrywającego się po ucieczce z obozu Boroczyce. Część oprawców otoczyła całe zabudowania, a drudzy wchodząc do pomieszczeń, wyposażeni w broń automatyczną z pogroźkami domagali się bym wydał, gdzie obecnie przechowuje się mój syn Czesław. **Po zdemolowaniu całego mieszkania syna nie znaleziono. Zaczęto mnie torturować, bito mnie i kopano, abym wydał gdzie ukrywa się mój syn Czesław, czego nie uczyniłem. Po ciężkim pobiciu mnie przez oprawców, wciągnięto mnie na jeden z wozów, a było ich ponad pięć wypełnionych oprawcami. Kazano mojej żonie Rózi, by przyniosła łopatę, a było wiadomo po co. W tym czasie konwój wraz ze mną ruszył w kierunku wygonu, skręcając na lewo w kierunku lasu. Wygon to była na 10 metrów szeroka, piaszczysta droga, służąca do pędzenia bydła na pastwiska z Tumina do lasu. Wieziono mnie***

przez całą kolonię Kisielówka, a w lesie skręcono na prawo, 50 metrów przed gajówką. Mieszkał tam gajowy Paweł Gnatiuk, został wywieziony wraz z rodziną na Sybir 10 lutego 1940 r.. Gdy oprawcy wieźli mnie przez kolonię Kisielówka, moja żona Rózia i syn Longin biegli za wozami. Słyszałem straszliwy płacz i lament, byliśmy rodzinnie związani. Po wjechaniu wozów do lasu usłyszałem kilka serii z broni maszynowej, przyszła mi do głowy straszna myśl, że oprawcy załatwili moją żonę i syna Longina bowiem płacz i lament ustał. Nie dojeżdżając do gajówki wozy skręciły w prawo, w zarośla i tam zatrzymały się, **oprawcy ściągają mnie z wozu. Dano mi łopatę do rąk i kazano kopać dół o wiadomych rozmiarach. W trakcie kopania dołu odebrano mi pamięć, drżałem z bólu i pobicia, ale zdałem się na Boską pomoc. W tym czasie zapadł zupełny mrok, a ja kopiąc dół widzę, że oprawcy pomiędzy sobą o czymś rozmawiają. W tym momencie jeden z oprawców podchodzi do mnie, a dół miałem już wykopany prawie na pół metra głębokości i mówi do mnie: „Skidaj czoboty!” – znaczy: zrzucaj buty! Zatem postanowiłem odłożyć łopatę i zrzuciłem jednego buta, następnie drugiego buta i przekazuję swemu oprawcy, stojącemu nade mną. W tym momencie „coś” mnie pchnęło do przodu i „szepnęło” do ucha: „Uciekaj, bo i tak śmierć!”. Zrobiłem skok do przodu, następnie w zaroślach skręciłem w bok. Zaczęto strzelać w moim kierunku, po czym zmieniłem kierunek i w ten sposób udaje mi się uratować moje życie, dzięki Boskiej Opatrzności. Tą tragedię trudno opisać, zrozumieć oraz w nią uwierzyć. Pragnąłbym, aby moje młode pokolenie takiej tragedii nie przeżywało.**

Po ucieczce od kul oprawców, gdzie uniknąłem tragicznej śmierci, opanował mnie zupełny obłęd, nie wiedziałem także, co się dzieje z moją żoną i synem Longinem, całą noc błąkałem się po lesie, nasłuchiwałem. Położyłem się w zaroślach, by nieco odpocząć, a w międzyczasie opatrywałem swoje pokaleczone nogi, kawałkami swojej koszuli. Ponieważ byłem do pasa mokry dostałem dreszczy, a przebywając w lesie, dopiero nad ranem zorientowałem się, gdzie jestem pomimo że las ten, był mi dobrze znany. **Przez cały dzień ukrywałem się w tym lesie, dopiero na drugą noc spotkałem się z żoną i dziećmi. Do własnego domu podkradałem się, jak pies do własnej budy. Czółgałem się do wybudowanego schronu, tam właśnie było umówione nasze miejsce spotkania, gdzie spotkałem żonę i syna Longina. Natomiast syn Czesław w tym czasie, ukrywał się w zaroślach. Po niecałej godzinie, po odsunięciu desek, do schronu wsunął się syn Czesław, pomyślałem: „Dzięki Bogu jest nas czwórka!”. W tym czasie wszyscy Polacy na Wołyniu, przeżywali taką samą tragedię. Wybudowane schrony nie były pewne i bezpieczne, gdyż oprawcy wyciągając Polaków ze schronów, na miejscu ich mordowali.”**

Tak oto cudownie mój ojciec Władysław uniknął pewnej śmierci, ja tymczasem postanowiłem uciekać do wsi polskiej nazywanej Zaturce gm. Kisielin pow. Chorochów. Tam zatrzymałem się u naszej rodziny polskiej o nazwisku Wrońscy i Gregorowicze. To była bliska rodzina naszej mamusi Rozalii, która była z domu Wrońska. Juliusz Wroński to był mamy rodzony brat, pomagali mi jak mogli. Mieszkałem tam około miesiąca, w tym czasie pracowałem w gorzelnii, gdzie kierownikiem był Polak o nazwisku Łyżwański. W tym czasie nie wiedziałem, co dzieje się w moim domu i w ogóle w naszych stronach.

BRONISŁAW NIECZYPOROWSKI PS. „KRĘPY” KORONNYM ŚWIADKIEM ZAGŁADY DUŻEJ I STAREJ, POLSKIEJ WSI DOMINOPOL

Początkiem 1943 r. pojawił się na terenie Swojczowa i w okolicznych miejscowościach jakiś kpt. Dąbrowski, który zaczął organizować polską młodzież. Jego agitacja polegała na tym, aby gromadzić broń do rzekomego powstania. Do pomocy miał kaprala Gronowicza z Oździutycz i Stanisława Sawickiego ze Swojczowa oraz wielu innych współpracowników. Z rozmowy z kpt. Dąbrowskim i

okazanej listy „wykazu” jego członków wynikało, że było około 40 ludzi, byli to przeważnie młodzi zapaleńcy. Budziłem obawy, co do jego organizacji i pomimo rozpowszechniania ulotek o treści: *„Bracia do walki, Ojczyzna wzywa nas. Za Jej wolność oddamy wszystko.”*, nie widziałem perspektywy jej bytu. Organizacja kpt. Dąbrowskiego istniała do 11 lipca 1943 r. W dniu 10 lipca 1943 r., t.j. w sobotę kpt. Dąbrowski zwolnił swą grupę na niedzielę, w celu odwiedzenia swych rodzin. A w poniedziałek rano, t.j. 12 lipca 1943 r. polecił stawienie na moście w Dominopolu. Niestety z 11 na 12 lipca cała ludność Dominopola została kompletnie wymordowana przez banderowców, a most na rzece Turii został przez nich opanowany. Wszyscy, którzy stawili się na most, na zbiórkę zostali bezlitośnie wymordowani z kpt. Dąbrowskim włącznie.

Z mojego punktu widzenia rzekomy kpt. Dąbrowski był polskim patriotą, który sprzeniewierzył się Ukraińcom i z tego powodu został zamordowany, a wraz z nim wymordowano większość członków jego oddziału. Wczytajmy się jednak w relację mojego sąsiada i bliskiego kolegi Bronisława Nieczyporowskiego ps. „Krepy”, który był żołnierzem kpt. Dąbrowskiego, a który cudownie wyratowany z masakry Dominopola, jest naocznym świadkiem zagłady tej dużej, starej polskiej wsi, oto ona: *„Ja Bronisław Nieczyporowski urodziłem się 20 lipca 1925 r. na kolonii Kisielówka gm. Kisielin, pow. Horochów na Wołyniu. Mieszkalem tam z moimi rodzicami, dwoma młodszymi braćmi i jedną siostrą.*

W roku 1943 zaczęły grasować bandy UPA, a widząc zarazem pewną nieufność ukraińskiej ludności do Polaków, wśród naszej społeczności zaczął narastać duży niepokój. Działo się tak niestety, pomimo że razem mieszkaliśmy, razem chodziliśmy do szkoły, razem bawiliśmy się, były nierzadko mieszane małżeństwa i rodziny. Polska ludność była bardzo wierząca, nigdy nie przypuszczała, że może dojść do tak tragicznych morderstw, jakie później miały miejsce, a rozgłosy na ten temat, były nawet nie raz, celowo przyciszane. W końcu czerwca 1943 r. dowiedziałem się, że w polskiej wsi Dominopol, leżącej przy rzece Turii i lesie Świnarzyńskim, w pow. Włodzimierz Wołyński, niejaki kpt. Dąbrowski organizuje polską partyzantkę. Po zastanowieniu, zdecydowałem wraz z Edwardem Kosiosem, moim bratem ciotecznym, że udamy się tam razem i wstąpimy do tego powstającego oddziału i tak się też stało. Było nas tam 12 młodych chłopaków i byliśmy łącznikami bowiem kpt. Dąbrowski miał popisanych wielu członków tej konspiracji z okolicznych wsi i kolonii, którzy posiadali broń. Razem miało być nawet 120 osób, między innymi Czesław Życzko i Wacław Pogorzelski.

Kapitan Dąbrowski nie wierzył w dobre intencje bandy UPA, a my jako łącznicy pewnej nocy mieliśmy powiadomić wszystkich posiadających broń o możliwym niebezpieczeństwie. To w przypadku gdyby trzeba było się bronić przed bandą i organizować nowe oddziały. 10 lipca 1943 r. kapitan Dąbrowski coś wyczuł i puścił nas na przepustki, powiedział: „Jak w poniedziałek będzie cicho, to wstawić się tutaj z powrotem, a ja i kapral Gronowicz pozostaniemy tutaj w Dominopolu”. Z niedzieli na poniedziałek tj. z 11 na 12 lipca w nocy banda UPA okrążyła całą wieś i bez strzału wymordowali wszystkich mieszkańców polskich Dominopola. Uczyniono to tak sprawnie, że na wybudowach około 1 km nikt nie słyszał i nie wiedział, co w Dominopolu stało się tej nocy. Zatem w poniedziałek wszyscy wracali pewni siebie z przepustek, nie spodziewając się niczego nowego, tymczasem tam wszyscy byli już pomordowani. Mój brat mając 12 lat koniecznie chciał mnie odwiedzić końmi, bo chciał zobaczyć polskich partyzantów, więc zaczął prosić rodziców, aby go puścili i rodzice wyrazili zgodę.

Wraz z bratem Tedeuszem zaprzęgliśmy konie i żegnając się z rodzicami ruszyliśmy w drogę, było to około 10 km. Około godziny 11.00 dojeżdżamy do mostu

na rzece Turii, tam stała warta UPA i zatrzymali nas. Jeden z nich wsiadł na wóz i mówi, że chce podjechać do wioski. **Wjeżdżamy już na wieś, a ja zaraz zorientowałem się, że wpadliśmy w zasadzkę! Oto z ludności już nikogo nie widać, a tylko bulbowcy latają do mieszkań i rabują zdobycz po Polakach** i w tym momencie ten Ukrainiec mówi do mnie: „Stój!”. Ja stanąłem, a z mieszkania wybiega czterech jeszcze i wynoszą szpadel, a do mnie tak mówią: „Wykopiesz jamę, bo mamy parę Żydów do zakopania”. Myślę sobie, to już koniec, z początku nie chciałem, to jeden z nich mnie kolbą po ramieniu, nie było wyjścia, wyszliśmy na ogród za budynki i kazał mi kopać. **Zacząłem kopać, z początku chciałem szpadlem rąbnąć choć jednego, już mi ręce drgnęły, ale jakby mi ktoś je zatrzymał i mówił do mnie: „Uciekaj!”**. A ja sobie zaraz w sercu pomyślałem: „Jak z tej obstawy można uciec?”, czterech ich było z ręcznymi karabinami, jeden z ruskim r.k.m. i szósty z pistoletem w ręku. A pomimo to w dalszym ciągu czułem jakby za mną ktoś stał i mówił: „Uciekaj!”. Miałem na sobie buty oficerki, które kupiłem od żony oficera i pomyślałem sobie, że w tych butach mnie nie zabiją. Brat Tadeusz stał obok i płakał, żeby go puścili do mamusi.

Gdy wykopałem dół głębokości sobie po piersi, jeden z nich mówi do mnie: „Wylaż i ściągaj buty.” i zacząłem ściągać buty. Jednego już zdjąłem, a drugi noga jeszcze była w cholewie, jak dałem susa pomiędzy nich, odbiegłem około 50 m. i o coś się zaczepiłem, przewróciłem się. W tym samym momencie oddano do mnie serię z erkaemu, także tylko mi furazerkę zbito z głowy, ale podnosząc się złapałem furazerkę i zacząłem dalej uciekać. Wtem na koniu zauważyłem jakiegoś oficera, gdyż miał jakieś odznaki, jedzie obok mnie jakieś 50 m. i krzyczy do nich: „Nie strzelać!”. Ponieważ ja biegłem do zabudowania, o mało mnie nie rozjechał koniem, na szczęście furtka była otwarta. **Wpadłem na podwórze, wszystko zabudowane i tylko między stodołą a oborą był płot z desek, taka ściana wysoko ponad 2,5 metra. W tym czasie ten na koniu podjechał i z pistoletu do mnie, ale trzeci raz jak strzelił, to ja byłem już po drugiej stronie i dalej uciekałem ile miałem sił w nogach**. A ci z tyłu dalej lecą za mną i strzelają, ale oni byli już za mną w odległości około 300 metrów, także ten na koniu nie daje za wygraną, goni mnie zawzięcie dalej. Patrzą, a on jedzie obok mnie, już chciałem stanąć, ale znów ktoś jakby mówił do mnie: „Uciekaj!”.

Przede mną rosły nieduże krzaki, a po drugiej stronie pasło się parę koni, pomyślałem sobie, abym dostał się do tych koni. Gdy przebiegłem przez te krzaki, obejrzałem się, a tego na koniu nie było widać i nie wiem, co się z nim stało. Tak sobie przypuszczam, że jak on jechał pędem to koń musiał ugrząść, bo jak ja biegłem, to też wpadłem po kolana w błoto. Gdy zbliżałem się do tych koni, ten z erkaemu puścił serię po koniach, a te galopa w dalsze zarośla. Tych z tyłu zaś mam około 500 m za sobą i dobiegam do rzeki, ale już nie tylko w płucach, ale i w żołądku miałem sucho. Wskoczyłem do wody i połknąłem kilka łyków, to dodało mi sił i otuchy do dalszej walki.

W tym miejscu rzeka była płytka w pas, przebrnąłem rzekę, a tu trafia się równina, łąki wykoszone, tymczasem ci z tyłu wciąż mnie nękają. Na szczęście mam ich już 800 m za sobą z tyłu, uciekam dalej padając w różne strony jak tylko umiałem. Oglądam się, przez rzekę przeprowia się trzech na koniach, ale konie nie chcą iść. Ja zaś mam już bardzo blisko do polskiej kolonii Popówka, nawet widzę jak uciekają przede mną zaalarmowani ludzie. Przede mną w polu jakieś zabudowanie pomyślałem, że teraz mam zasłonę i nie potrzebuję, coraz to padać. Przede mną duży obszar majątkowego żyta, biegłem ile miałem tchu, wybiegłem na taki wzgórek, **oglądam się, a tych trzech na koniu jedzie za mną, ale już ze dwa km. Odruchowo oceniam sytuację, co mam teraz robić, jak nie uda mi się ich zmylić, to mnie zaraz mają**. Dobiegłem do bruzdy gdzie jest małe żyto, aby zgubić ślad i udaję się na lewo do kolonii, ale gdy tylko zbiegłem w dół, tak by ścigający mnie nie widzieli, chyłkiem

wycofałem się z powrotem na wzgórze. Ryba wzięła przynętę i jeźdźcy skierowali się na kolonię, aby w ich zamyśle zaskoczyć mnie drogą, spodziewali się, że na kolonii Popówka, będą szukał teraz schronienia i wsparcia. Ja tymczasem uciekam dalej dokładnie w przeciwnym kierunku, dobiegłem do tej samej rzeczki Turii i przepłynąłem na drugą stronę.

Siedziałem w zoraślach i obserwowałem co oni robią, w tym czasie, ci co ścigali mnie na pieszo, osiągnęli punkt, w którym spodziewali się mnie pochwycić. **Zjeżdżali tam raz przy razie na koniach i pieszo, tak ze trzy godziny, ale z niczym musieli w końcu wracać do swoich. Uważnie ich liczyłem, czy aby któryś nie pozostał zamaskowany w ukryciu, bowiem tutaj już się nie bałem, gdyż w pobliżu był duży las. Uklęknąłem i wyjąłem książeczkę od nabożeństwa i zacząłem się modlić. Po jakiejś godzinie czasu okrężną drogą, polami wróciłem do rodzinnego domu, tak niemal cudownie ratując własne życie. Niestety mojego brata Tadeusza, tam na Dominopolu zabili.**

Powyższa relacja bardzo dokładna, wiernie oddająca bezmiar tragedii mieszkańców Dominopola oraz członków konspiracji kpt. Dąbrowskiego, została mi przekazana przez Bronka Nieczyporowskiego i od tamtej pory przechowuję ją w swoich prywatnych zbiorach. Z myślą o nas wszystkich, udostępniam dziś te fakty i zaznaczam, że jeszcze do wspomnień Bronka i to zaraz, w tej pracy wrócimy.

BANDEROWCY WYRZYNAJĄ LUDNOŚĆ LIPNIK, PRZEWAŁY, BEREMESZÓW, KISIELÓWKI, CZESNÓWKI I JAWORÓWKI

Ogólne morderstwa ludności polskiej zaczęły się z początkiem lipca 1943 r., pierwsze ofiary padły właśnie w Dominopolu, a także na terenie naszej gminy Kisielin. W kościele parafialnym w Kisielinie, brutalnie wymordowano w czasie nabożeństwa setki Polaków, pozostała część broniła się w murach, nieprzerwanie przez 12 godzin. Bandyci odstąpili dopiero nocą, po temu wyratowała się część ludności polskiej. W tym samym czasie i także podczas nabożeństwa, dokonano masowej zbrodni w kościele w Porycku. Następnie atakowane były inne miejscowości, w tym Rudnia, a ludność polska bestialsko mordowana od niemowląt po starców. Ogólny mord naszej kolonii Kisielówka nastąpił 21 sierpnia 1943 r., poniżej zamieszczam dokładny opis tamtych tragicznych wydarzeń oraz okoliczności, które poprzedziły napad banderowców. A było to tak: gdy dowiedziałem się, że Ukraińcy wymordowali Polaków w Kisielinie i na Rudni, postanowiłem wrócić w rodzinne strony, aby przekonać się, co się właściwie dzieje w moim domu.

Dlatego nocą poszedłem do Kisielówki i zapukałem w okno, gdy rodzice zobaczyli mnie zdrowego, popłakali się ze szczęścia, nie wiedzieli bowiem, czy w ogóle jeszcze gdzieś tam żyję. Okazało się przy tym, że w naszych stonach Ukraińcy również mordują Polaków i że całkiem niedawno wymordowali ludność cywilną Dominopola. Nie mogłem oczywiście pozostać w domu, dlatego nieustannie ukrywałem się w kopach na polu, w pobliskich zaroślach oraz w lesie, podobny los dzielił w tym czasie mój tatuś. W domu pozostawała najczęściej mama Rozalia i brat Longin, ale nawet oni często chowali się w podziemnym schronie, który znajdował się w sadzie, obok pieca.

Zatem były to dni i miesiące niezwykle trudne, oto jak wspomina je Bronek Nieczyporowski: „*W tym czasie byliśmy bardzo ostrożni, a gdy zostaje wymordowany Dominopol, gdy „krwawa niedziela” nie ominęła nawet świątyń w Kisielinie i Porycku zaczynają nam serca drzeć. Chowamy się gdzie kto może, po lasach, zagajnikach, polach i miedzach. Ale nawet wtedy, pomimo tak nieznosnych warunków współżycia z Ukraińcami nie wszyscy Polacy wierzyli, że może dojść do takiej masakry, jaka spotkała mieszkańców Dominopola. Byli nawet i tacy, którzy liczyli na to, że to wszystko jakoś przejdzie. I chociaż nasza organizacja istniała,*

oczywiście w pewnym ograniczeniu, byli i tacy miejscowi Polacy, którzy ostrzegali nas, że jeśli okażemy, że posiadamy broń, to nas Ukraińcy pobiją, taka była po prostu mentalność. Członkami naszej konspiracji w tych dniach grozy byli: kol. Waclaw Pogorzelski, kol. Gronowicz z Oździutycz, Stanisław Ferenc, Konstanty Zymon, Czesław Życzko oraz wielu innych kolegów.” Świadectwo naszego kolegi Bronka rzuca zatem pewne światło, dlaczego i w naszej kolonii nie zawiązała się czynna, zbrojna samoobrona, która mogłaby stawić opór rozjuszonemu banderowcom w razie spodziewanego ataku.

Tak ukrywaliśmy się, aż do 21 sierpnia 1943 r., kiedy w biały dzień, w samo południe, około godziny 14.00 miał miejsce zbrojny napad na naszą kolonię. Stałem na brzegu lasu chłopskiego, gdy się zaczęło, naprzeciw pola Polaka Zymona z Kisielówki. Nagle zobaczyłem, że do naszego domu idzie pieszo kilka osób, nie mogłem jednak dostrzec, czy posiadają broń, jedna osoba jechała na koniu. Gdy oni zniknęli wśród naszych zabudowań, usłyszałem jeden strzał, a potem nastąpiła cisza. Za chwilę usłyszałem więcej strzałów, już na terenie samej kolonii. Zobaczyłem także jak na dłoni, jak od zabudowań naszej kolonii w kierunku lasu uciekają ludzie w różnym wieku, w tym dzieci, nie mogłem jednak nikogo rozpoznać ponieważ wciąż było daleko, choć już po chwili rozpoznałem Waclawa Pogorzelskiego.

W tej dramatycznej chwili, tuż obok mnie stała nasza sąsiadka Helena, moja przyszła żona oraz jej rodzice Franciszka i Andrzej Furtak. Nagle usłyszeliśmy strzały w lesie, w tej sytuacji przestraszyliśmy się i rzuciliśmy się do gwałtownej ucieczki w głąb lasu, w kierunku drewnianej Kaplicy hrabiego Szumińskiego. Kaplica stała przy Krzyżówce w lesie i póki co, szliśmy sosiną dość pewnie bowiem las ten znałem od dawna dość dobrze. Od kiedy jeszcze przed wojną, wraz z hrabią Szumińskim polowaliśmy na ptaki, zające i sarny. Do dziś pamiętam, jak często bywałem w jego domu, widziałem tam całe dwa pokoje, wystrojone przeróżnymi ptaszkami, wypchanymi od środka tytoniem.

Kiedy zbliżyliśmy się do Kaplicy w lesie, nagle wokół nas zaczęły rwać się pociski moździerzowe, które Ukraińcy miotali gdzieś z lasu Świnarzyńskiego. Widać mieli dość dobry zwiad, bądź po prostu domyślali się, że właśnie tam Polacy szukają dziś swego schronienia. Oczywiście w lesie powstała wielka panika, zszokowani ludzie nie wiedzieli zupełnie, gdzie mają uciekać, gdzie szukać ratunku. A było tam już około kilkadziesiąt osób z bardzo różnych miejscowości, wśród nich było bardzo wielu naszych sąsiadów. W pewnym momencie dostrzegłem mężczyznę, który szedł bardzo szybko, a przy tym wydawał mi się bardzo podobny do mojego tatusia, więc pogoniłem za nim i krzyknąłem: „*Tatusiu!*”. Tymczasem on gwałtownie się odwrócił, a dzieliło nas już ledwie 10 metrów i bez jednego słowa wypalił do mnie z broni. Na szczęście, gdy tylko zobaczyłem jego twarz, poznałem Ukraińca z Tumina o imieniu Wasyl, nazywanego też „*Wargatym*”, od razu rzuciłem się na ziemię, tak że mnie nie trafił. Zaraz też przytomnie wskoczyłem w leśny gąszcz, który mnie ochronił.

Potem szybko wróciłem do naszych i razem z **dużą grupą ludzi uciekających od Kaplicy, ruszyliśmy w kierunku Czarnego Lasu. Wielu ludzi krzychało bowiem do nas, by nie iść pod Kaplicę bowiem tam już rozpoczęła się rzeź, Ukraińcy strzelają kogo popadnie oraz rąbią siekierami i widłami kogo się da.** Tak więc nie mając wyboru, uciekaliśmy razem z nimi, to były naprawdę straszne chwile. **Jakby piekło rozwarło się na ziemi, jeden uciekał i płakał, inny biegł i krzychał coś tam, może kogoś nawoływał, a może jakiś amok właśnie go ogarnął, dzieci piszczały. Przyczym cały czas słychać było strzały karabinowe, na szczęście przestali strzelać z moździerzy.** Dotarliśmy tam po jakiejś godzinie i naszym oczom ukazała się już duża grupa ludzi z różnych miejscowości, w tym z Dominopola,

Kisielówki, Augustowa, ale przede wszystkim z Jasionówki oraz polskiej kolonii Czesnówka, która była położona za Czarnym Lasem. To był bardzo dogodny teren do ukrycia się gęsty, trudno dostępny las olchowo-brzozowy i mnóstwo przeróżnych krzaków, gdzie bardzo łatwo można było się schować, a przy tym były tam bagna i moczary. Tam właśnie zatrzymaliśmy się, a tymczasem przybywały, coraz to nowe osoby i całe rodziny. Właściwie prawie wszystkich znałem, byli tam dla przykładu: Stanisław Łachowski oraz jego rodzina z Czesnówki, oraz bardzo wielu innych.

Póki co, byliśmy w samym piekle i wspólnie zastanawialiśmy się, co robić dalej, gdzie uciekać i jak się stąd wydostać, z tych nie lada tarapatów. Jak zwykle w takich chwilach zdania były bardzo podzielone, niektórzy chcieli przeczekać spokojnie na tym uroczysku do rana, a potem wrócić do swoich domów, do swojego całego dorobku życia. Takie stanowisko zajęli przede wszystkim ludzie starsi, mówili tak: *„My wracamy rano do domów naszych, tam cały nasz majątek, tam nasza chudoba, a to przejdzie i znów będzie u nas spokojnie, będzie znów dobrze. Przecież Ukraińcy to też ludzie, za co oni mają nas bić, przecież my tyle lat przeżyli w zgodzie i w najlepszym porządku”*. Inni byli jednak przeciwni, aby wracać do swoich domów uważali, że Ukraińcom po tym, co zrobili nie można już zaufać, ale przeciwnie trzeba koniecznie próbować przedostać się do miasta Włodzimierz Wołyński. Może przynajmniej tam uda się przeżyć i doczekać do końca wojny. Tak uważali przede wszystkim młodzi, mówili więc tak: *„Pójdziemy do miasta, zobaczymy jak tam jest, przekonamy się, czy tam w ogóle da się przeżyć. Potem tu wrócimy i wszystko wam opowiemy”*. Wtedy odezwał się Stanisław Łachowski, który był wyraźnie zdenerwowany mówiąc: *„Zanim pójdę do miasta, pójdę do naszej kolonii i spalę swój dom, kto pójdzie ze mną?!”*. Zgodził się pójść Broniek Nieczyפורowski, mój sąsiad z Kisielówki, zanim jednak jeszcze wyruszyli, ktoś tak przemówił: *„Nie rób tego bo ogień rozniecisz i ściągniesz nam na głowy banderowców, którzy nas tu wszystkich rychło wykończą.”* . Poszli ale ognia rzeczywiście nie podłożyli, tylko Stach zdemolował wszystko w swoim domu, a odchodząc zabrał z sobą duży garnek miodu pszczelego. A trzeba dodać, że od miejsca naszego ukrycia, do domu Staszka było zaledwie 300 metrów. Miodu było bardzo dużo, więc wszyscy, kto chciał mogli trochę zjeść.

Trwaliśmy w lesie, cenny czas uciekał, a nasze trudne położenie wcale się nie poprawiało, coraz więcej osób chciało jednak uciekać do miasta Włodzimierz Wołyński. Widząc to poprosiłem Staszka Łachowskiego i Helenę Furtak, aby udali się ze mną do Kisielówki, gdzie w domu została moja mamusia Rozalia. Wzięliśmy ze sobą karabin i dwa granaty i przez las dotarliśmy do gospodarstwa Heli, panował tam spokój, więc wypuściliśmy zwierzęta gospodarcze, aby się nie męczyły. Następnie przeszliśmy przez posesję Polaków Stanisława i Zofii Mikulskich, których syna Władka oraz córkę Marysię rocznik 1921 osobiście znałem. Przypominam sobie jak pierwszy raz ja i ona szliśmy do szkoły do Tumina, mama wzięła kropidło ze święconą wodą i pokropiła nas dobrze mówiąc: *„Trzymajcie się dzieci za rączki i idźcie do szkoły razem. Niech was Bóg prowadzi. Czesiu to twoja przyszła narzeczona.”* . Los chciał jednak inaczej i Marysia została zabrana na roboty do Niemiec w roku 1942, tam też niestety zginęła, podczas ciężkich bombardowań. Po chwili byliśmy już w moim domu, był otwarty, bardzo się bałem, tak że zaraz po wejściu dosłownie struchlałem. Nawoływałem mamusię, ale nigdzie jej nie było, wtedy wyszedłem z domu do sadu, gdzie był nasz piec chlebowy i poczułem zapach świeżego, upieczonego chleba. Rzeczywiście był jeszcze chleb, ale mamy naszej nigdzie nie było, ani śladu, także schron był pusty. Ponieważ nikogo nie znaleźliśmy, wróciliśmy do lasu.

PORANIENI, BRUDNI, GŁODNI I BLISCY OBLĘDU, PRZEKRADAMY SIĘ NOCĄ DO MIASTA.....

Po drodze w chłopskim lesie napotkaliśmy jakichś ludzi, ale na razie nie wiedzieliśmy kto to jest. Zaczęliśmy podpatrywać i poznaliśmy, że to Helena Petelicka wraz z swoim synkiem Henrykiem lat około 5. To byli nasi ludzie z Kisielówki, którzy skryli się tu, uciekając spod Kaplicy, gdzie napadli na nich ukraińscy sadyści. Gdy ją znaleźliśmy była pół przytomna i zupełnie nie wiedziała, co ma teraz z sobą zrobić, gdy nas poznała i trochę do siebie przyszła, tak zaczęła nam opowiadać horror, który sama niedawno przeżyła: *„Byłam z mężem Eugeniuszem, synem Henrykiem oraz wieloma innymi Polakami w zaroślach przy Kaplicy myśliwych. Tam napadli na nas Ukraińcy i zaczęli wszystkich mordować, rąbiąc kogo się da siekierami. Zarąbali mojego męża, a ja wyrwałam się dosłownie spod siekiery i uciekłam, teraz chowam się jak widzicie i naprawdę nie wiem, co mam z sobą zrobić!”*. Oczywiście zabraliśmy ich z sobą, do całej naszej grupy w Czarnym Lesie. Tam zapadła decyzja, aby wyruszyć jednak do miasta, a była już ciemna noc. Niestety około piętnastu osób nie przystało na ten plan i zostało na miejscu, w tym mój brat Longin oraz rodzice Heli, brat Eugeniusz i siostra Czesława. Zostali także: organista ze Swojczowa, rodzina Kosiorów z Czesnówki, Adam Zymon i wielu innych. Tymczasem my umówiliśmy się, że grupę będzie prowadzić trzy osoby: ja osobiście, Stacho Łachowski i Hela. Ustaliliśmy także hasło rozpoznawcze na wypadek, gdybyśmy się rozproszyli, wobec zbliżającego się wroga, pomodliliśmy się i ruszyliśmy w drogę.

Mijaliśmy pola i łąki, aż dotarliśmy do łąk księdza Franciszka Jaworskiego koło Swojczowa, około 1 km od samego Kościoła. Tam dostrzeżliśmy bardzo dużą łunę i jedni mówili, że to pali się probostwo, a inni że to pali się Kościół. Takie to zrobiło na nas wrażenie, że dosłownie pokłękaliśmy na ziemi i poczęliśmy odmawiać Litanię do Najświętszej Marii Panny. Modlitwę zaproponowała i prowadziła Stefania Uleryk, Polka z Czesnówki, lat około 45, zwana popularnie „Stefanichą”. Była to kobieta pobożna, znana z tego, że zawsze w maju prowadziła przy Krzyżu w Czesnówce nabożeństwo majowe. Pamiętam, że był tam duży drewniany Krzyż, który stał przy krzyżówce, często mijałem go, gdy szedłem na ryby do rzeki Turii, na grzyby do lasu Świnarzyńskiego, czy do pracy przy drzewie. Do dziś nie wiem, co się wtedy paliło, w każdym razie na pewno paliło się blisko samego Kościoła, może to był nawet sam Kościół.

Tymczasem my ruszyliśmy w dalszą drogę i spotkaliśmy dwóch mężczyzn, szybko okazało się, że to Broniek Nieczyporowski i Eugeniusz Głogowski, którzy wcześniej zdecydowali się wybrać na własną rękę do miasta. Teraz postanowili dołączyć do naszej grupy. Gdy mijaliśmy pole, na którym wciąż znajdowały się pół kopki zboża, ktoś przeskoczył, tuż przed nami do drugiego pół kopka. Zaraz go okrążyliśmy i wydobyliśmy, okazało się, że jest to mężczyzna lat około 45, którego zabraliśmy ze sobą do zrewidowania. Niedługo później dotarliśmy do Cegielni, już świtało, gdy zatrzymała nas czujka polska, która zaraz wprowadziła nas na placówkę, a tam było już sporo naszych chłopców pod bronią. Tam wszyscy trochę odpoczęliśmy, napiliśmy się gorącej kawy, a gdy słońce było już dość wysoko, wyruszyliśmy do Włodzimierza Wołyńskiego. Przed południem byliśmy już w mieście. A oto pełna liczba osób, które udało się uratować i bezpiecznie przeprowadzić z Czarnego Lasu do Włodzimierza Wołyńskiego:

Łachowski Bronisław lat 60 i jego żona lat 51, córka Antonina lat 25, Anastazja lat 18, Alfreda lat 15, Lucyna lat 8, synowie Kazimierz lat 5 i Edmund lat 17.

Łachowski Stanisław lat 20, żona Helena lat 30, dwie córki 1,5 roku i 1,4 miesiące.

Łachowski Marian lat 33, Łachowski Stanisław lat 17.

Lipińska Anna lat 40, Uleryk lat 50, Anzołka Jerzy lat 19.

Suszyńscy: mąż i żona lat ok. 65.
Suszyński Hipolit i jego żona Helena lat 35.
Suszyński Józef lat 30, Sabina lat 20, Kazimiera lat 18, Regina lat 17.
Kuczko lat 46 i troje małych dzieci.
Zymon Adam lat 40, żona i dwoje dzieci
Lenard lat 50 i syn Janek lat 14.
Uleryk matka lat 50 i dzieci lat 22, 18 i 16.
Gniot Eugenia lat 26.
Uleryk Jan lat 22.
Głogowski z żoną i dziećmi, razem 5 osób.
Kotera Oktawia, córka organisty ze Swojczowa lat 18.
Kosior Jan, był on błakającym się dzieckiem.

Ludzie powyżej wymienieni 21.08.1943 r. umknęli śmierci przed bandą UPA ukrywając się w zaroślach lasu Szumińskiego, nierzadko wyrывая się z rąk oprawcom, szczęśliwie doprowadzeni do miasta Włodzimierz Wołyński, już nad ranem 22 sierpnia 1943 r. Przebieg tych tragicznych wydarzeń potwierdza także Bronisław Nieczyפורowski, który w dużo większym skrócie, tak relacjonuje te godziny męki: *„W dniu 21.08.1943 r. zostaje napadnięta nasza kolonia Kisielówka. W tym czasie część ludności polskiej ukrywała się, a część była jeszcze w swoich domach. Dla przykładu moi rodzice byli już w lesie, ale mama Longina Życzko dopiekala chleb, bo siedział w piecu i mówiła do nas: „Jak tylko chleb się dopiecze i ja zaraz przyjdę do was do lasu.” . To był ostatni raz jak widzieliśmy panią Życzko przy życiu, było około 14.00 kiedy udaliśmy się do lasu. **Gdy banderowcy zaatakowali ja i Longin Życzko właśnie wyszliśmy z tego lasu do swoich domów, by zabrać nieco więcej ubrań i żywności. Jeszcze z lasu zobaczyliśmy, że przy naszych zabudowaniach pojawiają się jacyś osobnicy, a jeden z nich jedzie na koniu. Słyszymy strzał, Lonek zaczął płakać i klęknął i mówi: „Już naszą mamusię zabili!”.***

Niemal w tym samym czasie w lesie zaczęła się oblawa na Polaków, wśród naszej przerażonej ludności wybuchła panika. Banderowcom o to właśnie chodziło, by nie było żadnej próby oporu z naszej strony, mogli teraz wylapywać ludzi jak kuropatwy. Grupa ludności polskiej zgromadziła się w lesie, koło kaplicy hrabiego Szumińskiego, tam dopadli ich Ukraińcy i zaczęła się prawdziwa rzeź. Z tej grupy spod siekiery wyrwała się Helena Petelicka ze swoim synkiem Henrykiem, którą odnalazłem na wpół obłąkaną w lesie i już razem udaliśmy się do lasu bagnistego Czesnówki zwanego Lasem Czarnym. Niestety nie znalazłem tam swoich rodziców, choć było tam wielu ludzi, w tych zaroślach jedni się modlą, jedni płaczą, nikt nie wie co ma robić, jeszcze inni twierdzą że to wszystko przejdzie, a rankiem wrócimy do swoich domów. Część ludzi chce się dostać do Włodzimierza Wołyńskiego, a Andrzej Furtak twierdzi, że dobrze zna gajowego o nazwisku Marko, który był Ukraińcem. Dopowiada jak to mu buty robił, Furtak był szewcem i jak się razem gościli, znacząco pyta: „Dlaczego ma mnie zabić, za co?!”

W obliczu tych wydarzeń Czesław Życzko prosi Stanisława Łachowskiego, aby udał się z nim na Kisielówkę, po jego matkę, Stach godzi się, razem z nimi poszła Helena Życzko. Ja sam widząc tak wielkie zamieszanie postanawiam wraz z Gienkiem Głogowskim opuścić tę grupę i razem udajemy do miasta Włodzimierz Wołyński. Kiedy jeszcze byliśmy w drodze, w lesie napotykamy dużą grupę ludzi i rozpoznajemy tych samych niedobitków, których wcześniej zostawiliśmy w Czarnym Lesie. Grupę tę ubezpieczali Czesław Życzko, Stanisław Łachowski i Helena Furtak, dołączyliśmy teraz do nich i pomagaliśmy w razie ataku ze strony rezunów. Na szczęście już bez większych problemów dotarliśmy do samego miasta.” . Takie to są właśnie zapiski mojego kolegi Bronka Nieczyפורowskiego.

W podobnym duchu, choć jeszcze skąpiej, o tych wydarzeniach pisał po wielu latach w miejscowości Rzepnowo na Pomorzu Stanisław Łachowski, oto jego krótki

opis: „W wyniku masowych mordów ludności polskiej na Wołyniu w czerwcu i lipcu 1943 r. oraz palenia polskich wiosek i osiedli przez bandy UPA, została spalona i moja rodzinna wioska Czesnówka w ówczesnym powiecie Horochowskim. Uratowawszy życie tułałem się po zbożach i krzakach i w dniu 12 lipca 1943 r. (oczywiście jest to błąd wynikający z upływu czasu, który skutecznie zaciera ślady w pamięci – atak na Czesnówkę i okolice był 21 sierpnia 1943 r., a Stach Łachowski dociera do miasta Włodzimierz Wołyński. Mając w perspektywie wyjazd na roboty przymusowe do Niemiec, lub wstąpienie do polskiej samoobrony, wybrałem to ostatnie. W sierpniu 1943 r. znalazłem się w oddziale zbrojnym sierżanta (a wówczas plutonowego) Kazimierza Sondaja w miejscowości Werba koło Włodzimierza. Brałem czynny udział w obronie mienia i życia ocalałej jeszcze z banderowskich rzezi ludności polskiej w tamtej okolicy.” .

W POSZUKIWANIU OCALONYCH I UKRYWAJĄCYCH SIĘ

Już parę dni później ja Czesław Życzko i inny mój kolega Wacław Pogorzelski, również z Kisielówki postanowiliśmy wyruszyć na poszukiwania jeszcze żywych, a ukrywających się ludzi, także członków naszych rodzin. Na początku skierowaliśmy się do Czarnego Lasu, gdzie ostatni raz widzieliśmy żywymi nasze rodziny niestety, gdy tam trafiliśmy, **na miejscu nie było już żadnej żywej osoby. Tylko luźne pozostałości po ludziach leżały w krzakach, ale śladów krwi nigdzie nie znaleźliśmy.** Tylko na wzgórku widać było zruszoną ziemię, tak jakby dwie mogiły, mieliśmy złe przeczucia, spodziewaliśmy się, że tam leżą kolejne ofiary ukraińskich zbirów. Nie mieliśmy jednak odwagi, aby to zaraz sprawdzić, sami bowiem baliśmy się swojego cienia. Tak przesiedzieliśmy w krzakach cały dzień, szperając tu i tam, a nocą wróciliśmy do miasta.

Po kilku dniach znowu wybraliśmy się w tamte strony na poszukiwania naszych bliskich, tym razem towarzyszył mi Władysław Mikulski, który również szukał swojej rodziny. Znowu wyruszyliśmy pełną nocą i dość szybko dotarliśmy do polskiej kolonii Świczówka, mieszkał tam Polak o nazwisku Buchowiecki. Miejscowość była opuszczona, tylko w jednym domu mieszkała rodzina Buchowieckich, była to rodzina mieszana polsko – ukraińska. Na podwórzu wyczuły nas psy i zaczęły od razu ujadać, wtedy wyszła z domu Antonina Przybyła, córka Buchowieckich i zobaczyła nas. Od razu przywitała nas z radością mówiąc: „Witajcie, skąd przychodzicie?!” . W tym momencie z domu wyszła także jej matka Buchowiecka i jak tylko nas zobaczyła, od razu krzyknęła na cały głos: „**Lachi przyszy!**!” i pogoniła do sąsiadów. Tymczasem my dalej rozmawialiśmy z Antosią, która zaczęła nas błagać: „*Weźcie ze sobą mojego męża Pietryka, który już dwa tygodnie siedzi pod podłogą, gdzie ukrywa się przed Ukraińcami.*” . Zaraz na niego zawołała, a on rzeczywiście wyszedł na podwórze, od razu poznaliśmy, że jest zarośnięty i skrajnie wyczerpany, miał poważne trudności z ustaniem o własnych siłach. Dobra żona podała też jego rzeczy, a my zaraz wyruszyliśmy z powrotem do miasta Włodzimierza. Poszliśmy jednak w kierunku na Chorostów, aby zmylić ewentualną pogoń, a potem skręciliśmy na Włodzimierzówkę.

W drodze odpoczywaliśmy w lesie, po przeróżnych krzakach i tam właśnie Piotr Przybyła opowiadał nam ze szczegółami, jaką gehennę przeżył w ostatnich dniach w domu swojej teściowej, mówił tak: „**Już od prawie dwóch tygodni ukrywam się u mojej teściowej pod podłogą, obawiałem się bowiem, żeby mnie Ukraińcy nie zamordowali, gdyby dowiedzieli się, że wciąż tam jestem, już bym zapewne nie żył.** Przez cały ten straszny czas pomagała mi moja dobra żona Tosia, teściowa nic nawet nie wiedziała o moim miejscu ukrycia. **W tym czasie w naszym domu przebywali banderowcy, którzy gościli się tu niekiedy i na cały głos przechwalali się, jak to Polaków mordowali. Słyszałem to bardzo wyraźnie, gdyż**

mówili dosłownie nad moja głową. Jednego razu usłyszałem głos Ukraińca, który opowiadał jak zginęła rodzina polska Furtaków, których wcześniej znał dobrze. Kiedy ich znalazł Andrzej Furtak ukłękł przed nim, złożył ręce jak do modlitwy i zaczął go prosić, aby im wszystkim darował życie. Wtedy Ukrainiec Marko z Tumina, jak sam się potem przechwalał, jak go rąbnął siekierą w głowę, aż krew trysnęła na niego! A potem pozabijał wszystkich pozostałych, którzy tam byli, również bezlitośnie rąbiąc ich siekierą.” . Warto dodać, że mój teść Furtak, był człowiekiem potężnie zbudowanym i mógł temu Ukraińcowi łeb ukręcić gołymi rękoma. Nie wiem dlaczego tego nie zrobił, może napastników było więcej i nie było realnych szans na obronę, a może postawił na litość i liczył, że prośbą i modlitwą przejedna znajomego Ukraińca. Tym bardziej, że gajowy Marko był w domu Andrzeja Furtka bardzo częstym gościem, przede wszystkim gdy przychodził naprawiać swoje schodzone buty.

Podczas tej drogi Piotr Przybyła **opowiadał mi również, jak zginęła moja mamusia Rozalia. Dowiedział się, że została zastrzelona w ogródku, tuż obok pieca, była właśnie w fasoli, o ile dobrze pamiętam i to usłyszał pod podłogą.** Opowiadał jeszcze wiele innych historii, ale niestety nie utrwały mi się w pamięci, a kiedy byliśmy już w mieście, nasze drogi się rozeszły. Po wojnie spotkałem się z nim jeszcze dwa razy w Hrubieszowie, był tam przez długie lata wójtem. Niestety już nie żyje, został pochowany na cmentarzu w Hrubieszowie. Warto też dodać, że Piotr Przybyła pochodzi z Kisielówki, gdzie mieszkali jego rodzice oraz siostra Zofia, która wyszła za mąż za Piotra Krzeszowiec. Mieli razem dzieci, a on był Ukraińcem, ale mało kto o tym wiedział. Niestety podczas mordów Piotr Krzeszowiec zamordował swoją żonę Zosię. Osobliwą tragedię przeżyli także ich najbliżsi sąsiedzi Józef i Józefa Gnatiuk oraz ich córka lat 14, których ukraińskie bandziory powiązali drutem ostrym, kolczastym i tak ich okrutnie zamęczyli. Tak przynajmniej opowiadali sobie ludzie w mieście we Włodzimierzu.

Oto wykaz pomordowanych Polaków na kolonii Kisielówka, Czesnówka, Jaworówka, Bermeszów i Lipnik w dniu 21.08.1943 r., który ja Czesław Życzko sporządziłem w porozumieniu z towarzyszami niedoli, w tym: moją żoną Heleną Życzko z domu Furtak, Stanisławem Łachowskim z kolonii Czesnówka oraz Bronisławem Nieczyporowskim:

Życzko Rozalia, maja mama lat 50, mój brat Longin lat 15 – Kisielówka.

Furtak Andrzej lat 52 mój teść, jego żona Franciszka lat 40, syn Eugeniusz lat 11, córka Czesława lat 9 – Kisielówka.

Michalec Stefania lat 10, Michalec Maria lat 47, obie były naszymi sąsiadkami – Kisielówka.

Ambroziak Mieczysław lat 16, był naszym sąsiadem – Kisielówka.

Kampanowski Michał lat 40, Janina lat 35, Stanisław lat 15, to byli nasi sąsiedzi także – Kisielówka.

Marceniuk Mieczysław lat 20, nasz sąsiad – Kisielówka.

Zymon Katarzyna lat 60, Bolesław lat 35, Hipolit lat 30, Janina lat 27, Maria lat 6, Stanisława lat 4, Zymon Kazimierz lat 33, Emilia lat 27, Józefa lat 5, Agata lat 3, Zymon Medzik lat 45, Władysława lat 30, Stanisław lat 6, Marian lat 4, Zymon Michalina lat 22, Władysław lat 5., to też nasi sąsiedzi – Kisielówka.

Suszyński Kazimierz lat 67 – Kisielówka.

Czerwonko Rozalia lat 78 – Kisielówka.

Merszałek Natalia lat 22, Jan lat 4 – Kisielówka.

Nieczyporowski Tadeusz lat 14 – Kisielówka.

Gałuszka Julian lat 43, Aniela lat 45, Władysław lat 16, Wanda lat 9, Stanisław lat 7, Józef lat 5, Stefan lat 3 – Kisielówka.

Niemiec Magdalena lat 57 – Kisielówka.

Gnatiuk Józef lat 47, Józefa lat 45, Stefania lat 15 – Kisielówka.

Gronowicz Władysław lat 70, Maria lat 65 – Kisielówka.

Petlicki Witold lat 12 – Kisielówka.

Dec Stanisław lat 38, Józefa lat 61, Marian lat 2 – Kisielówka.

Ferenc Józef lat 29 – Kisielówka.

Mikulska Zofia lat 45, Wanda lat 12, Stefania lat 10 – Kisielówka.
 Głogowski Józef lat 15, Rozalia lat 14 – Kisielówka.
 Michalczyk Antoni lat 69, Maria lat 65 – Kisielówka.
 Ferenc Bolesław lat 7, Stanisław lat 5 oraz noworodek 2 dni – Kisielówka.
 Pogorzelski Antoni lat 71 – Kisielówka.
 Uleryk Antoni lat 72, Aniela lat 50, Stefan lat 57 – Kisielówka.
 Michalczyk Stanisława lat 9 – Kisielówka.
 Zybura Michał lat 53 (mój wujek), Katarzyna lat 40 (moja ciocia), Zofia lat 75, Marian lat 15, Jan lat 9, Tadeusz lat 7, Teresa lat 4 (to moje kuzynostwo) – Jaworówka.
 Wyszyński Aleksander lat 45, (mój szwagier), Maria lat 40, (moja siostra), Aleksander lat 16, Janina lat 14, Aniela lat 12, Jadwiga lat 10 (mój brat i siostry cioteczne) – Bermeszów.
 Wrońska Maria lat 65 moja ciocia – Lipnik.
 Kutowicz Antoni lat 40 mój kuzyn – Lipnik.
 Rowiński Walenty lat 32 mój kuzyn – Lipnik.
 Pajta Józef lat 32 komendant PW – Lipnik.
 Wolski Józef lat 19 to z dalszej rodziny – Lipnik.
 Uleryk Stefan lat 65 – Czesnówka.
 Łachowski Aleksander lat 70, żona lat 67 – Czesnówka.
 Kuczko Bronisław lat 53 i troje dzieci lat 20, 8 i 6 – Czesnówka.
 Kosior Józef lat 22 i brat Edward lat 19 – Czesnówka.
 Uleryk Jan lat 72 i żona lat 60 – Czesnówka.
 Błędowski Stefan lat 30 i 1-roczy synek – Czesnówka.
 Torkowski Jan lat 30 i żona Władysława lat 20 – Czesnówka.
 Dumański Waclaw lat 58 oraz cała rodzina tj. 6 osób od 17 do 4 lat – Czesnówka.
 Zymon Jan lat 63, żona lat 51 oraz 4 dzieci od 21 do 5 lat – Czesnówka.
 Błędowska Helena lat 31 i jej syn lat 3 – Czesnówka.
 Błędowska Maria lat 60 – Czesnówka.

NA SZLAKU BOJOWYM 27 WOŁYŃSKIEJ DP ARMII KRAJOWEJ

Parę dni później ja i mój tatuś oraz Helena, udaliśmy się na polską kolonię Wodziniek koło Bielina, gdzie była już placówka polskiej, lokalnej samoobrony. Tam mieszkał również mój stryj Ludwik Życzko, wraz ze swoją rodziną i u niego zatrzymaliśmy się na dość krótki czas. Od tego też momentu, włączyliśmy się w czynną pracę konspiracyjną, nawiązując kontakt z ppor. „Piotrusiem”, dowódcą nowo tworzącej się I kompanii. Będąc w I Kompanii brałem czynny udział w walkach wokół takich miejscowości jak: Kraki, Gnojno, Stęzarzyce, Jagodzin, Lasy Mosurskie. W Lasach Szackich 21 maja 1944 r. zostaje ciężko ranny i opatruje mnie felczer Barański, tak też zostawiają mnie oddziały dywizyjne. Po odzyskaniu przytomności napotyka mnie cofający się oddział partyzantki sowieckiej i zabiera mnie ze sobą. W dniu 25 maja 1944 r. przekazują mnie do I bat 45 pułku „Gzymśa”, zostaje przydzielony do I kompanii por. Szczepanika, do II plutonu st. sierżanta Marciniaka ps. „Migłanc” i do dow. V drużyny kaprala Sawickiego.

W szeregach tej braci walczę, aż do forsowania rzeki Bug, t.j. do nocy z 09 na 10 czerwca 1944 r. Przed forsowaniem rzeki Bug dowódca plutonu wydaje rozkaz dowódcy drużyny kapralowi Sawickiemu, by najwyższy wzrostem kolega przekazał mi swego „diektierowa”. I choć miałem nowiutkiego mauzera, którego zdobyłem przy rozbrajaniu Niemców w Stęzarzycach musiałem wyrazić zgodę i wykonać, rozkaz to rozkaz. Z tym diektierowem przeprawiłem się przez Bug i brałem udział w walkach pod Lubartowem oraz we wszystkich akcjach bojowych, aż do złożenia broni w Skrobowie 25 lipca 1944 r., t.j. do dnia rozbrojenia przez Armię Czerwoną.

Losy naszych kolegów, po ucieczce nocą z rodzinnych stron do miasta Włodzimierza Wołyńskiego, Bronka Nieczyporowskiego i Stacha Łachowskiego były podobne, tak oto wspomina po latach Bronek: *„We Włodzimierzu Wołyńskim skontaktowałem się z konspiracją i udałem się do Zasmuk, skąd trafiłem do właśnie organizującej się 27 Wołyńskiej DP Armii Krajowej. Przeszedłem z naszą 27 Dywizją cały jej chlubny szlak bojowy, w Lasach Szackich byłem lekko ranny, przez Zamłynie,*

Jagodzin przebijałem się w drugim rzucie. Rzekę Bug forsowaliśmy z 09 na 10 czerwca 1944 r., brałem także udział w walkach na Lubelszczyźnie. Rozbrojony zostałem 25 lipca 1944 r. w Skrobowie pod Lubartowem.”

A oto krótka relacja Stanisława Łachowskiego: „Wstępując do oddziału podałem swój rok urodzenia 1926 (dokumentów nie miałem żadnych, a jedynie referencje osób, które mnie znały), gdyż obawiałem się, że młodszego wiekiem mogliby nie przyjąć. Oddział ten, dowodzony jak nadmienilem przez sierżanta Kazimierza Sondaję ps. „Wielgi”, w styczniu 1944 r. w ramach koncentracji przed akcją „Burza” wszedł w skład I kompanii ppor. „Piotrusia Małego”, I baonu 23 pułku piechoty (zgrupowanie „Osnowa”) 27 Wołyńskiej DP AK. W tym to właśnie oddziale służyłem Bogu i Ojczyźnie pod ps. „Kamień”. W tymże miesiącu w Sieliskach całością batalionu, po nabożeństwie polowym, na ręce kapelana pułku złożyliśmy przysięgę wg. roty ustalonej dla Armii Krajowej. W ramach I kompanii brałem czynny udział w szeregu walk i akcji bojowych, których szczególne nasilenie miało miejsce w roku 1944, w ramach wspomnianej już akcji „Burza”.

Po rozbrojeniu naszej 27 Wołyńskiej DP AK w Skrobowie pod Lubartowem 25 lipca 1944 r., jak wielu znalazłem się w bardzo nieciekawej rzeczywistości PRL, państwa zdecydowanie wrogiego nam, byłem Akowcom. W końcu wyjechałem na Ziemię Odzyskane i tam osiadłem, gospodarując na 12 ha ziemi. Życie, rodzina i ciężka praca na roli pochłaniały mnie, nie bardzo był zatem czas i możliwości odszukania byłych towarzyszy walk na Wołyniu. Dopiero utworzenie w ramach Zarządu wojewódzkiego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację (ZboWiD) w Szczecinie Klubu byłych żołnierzy Kresowych AK, pozwoliło mi na nawiązanie kontaktu z towarzyszymi broni. I choć minęło, aż 42 lata od bojowych zaszłości, wielu z nich zaświadczyło o moim także udziale na chlubnym szlaku walk i zmaganiach naszej 27 Wołyńskiej DP AK.” Tyle ze wspomnień Stanisława Łachowskiego, wracam zatem do moich dalszych losów, które teraz wkraczają w fazę, nie mniej dramatyczną.

PERFIDNE, OKRUTNE TORTURY URZĘDU BEZPIECZEŃSTWA (UB) W LUBLINIE I WIĘZIENIE NA ZAMKU LUBELSKIM W LATACH 1944 – 1945

Powrót na Wołyń nie był możliwy, ponieważ rodziny polskie zostały wymordowane, a domostwa spalone. Aby szukać i stworzyć jakieś warunki do życia, udałem się do Lublina. W Lublinie znalazłem na parę dni przytułek u Sióstr Bernardynek. Niestety tu w Lublinie zostaję aresztowany przez Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego i osadzony w areszcie śledczym na Krakowskim Przedmieściu. W areszcie śledczym wspomnianego Urzędu postawiono mi zarzut z art. 1 „Dalsza działalność w Armii Krajowej”. W celu wymuszenia fałszywych zeznań, stosowano wobec mnie nieludzkie tortury, byłem kopany w bestialski sposób, bity pałami, kablami w bardzo czasami perfidny sposób. **Wiązano mi ręce sznurem, wsadzano kij poza kolana i leżałem na podłodze zupełnie nieruchomy jak potwór. W tym czasie wlewano mi wodę do nosa, wsadzano mi szpilki za paznokcie. Gdy zaczynałem jęczeć, jak nieludzkie stworzenie – traciłem przytomność, zaczynałem wymiotować** – wtedy uwalniano mi ręce i zarządzano krótką przerwę. Po takiej przerwie ponownie stosowano te same metody, z tym że przyszła druga zmiana „Ubowców”. Wkładano mi palce w zamykające się drzwi, co było bardzo bolesne. Na wieczór nieprzytomnego zaprowadzono mnie do piwnicy budynku Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i rzucono na regał drewniany bez siennika i przykrycia. Taki był mój odpoczynek, byłem tak posiniaczony, że musiałem leżeć na brzuchu.

W dniu 19 listopada 1944 r. zostałem przetransportowany do więzienia na Zamku Lubelskim, wraz z innymi kolegami. Na dziedzińcu Zamku Lubelskiego rozładowano nas i postawiono twarzą do muru więziennego, a ręce kazano założyć na

szyję. Czuję się, jak zbrodniarz! W tej pozycji trzymano nas ponad godzinę, następnie pojedynczo, wzywali nas na przesłuchanie. Po dokładnym przesłuchaniu umieszczono nas w baszcie (I piętro) Zamku Lubelskiego. Jest to obiekt trzypiętrowy i profilu okrągłym, wewnątrz jak i z zewnątrz. Służył jako więzienie dla zagrożonych więźniów. W czasie okupacji niemieckiej z tej baszty nikt nie wrócił – tak twierdzi historia. W baszcie wewnątrz okrągłej jest podwyższenie cementowe ok. 30 cm, które służy jako legowisko, czy do spania. Prowadzone rozmowy wśród nas odbijały się odgłosem czyli echem po okrągłej ścianie i były bardzo uchwytny. Nawet ciche szepty można było zlokalizować. Do nas byli wpuszczeni tak zwani „kapusie”, aby w ten sposób nas rozszyfrować. Wokół ściany wewnątrz baszty istniały tysiące podpisów i nazwisk przebywających tam więźniów. Były one wyryte w cementowej ścianie tejże baszty. Były tam również różne notatki i informacje w różnych kolorach, nawet były napisy własną krwią. Za niemieckiej okupacji przebywali tam również więźniowie i były napisy o wykonaniu egzekucji. Sam widok wewnątrz baszty był ponury, okienka mało widoczne i zakratowane. Sam widok napisów wewnątrz baszty oraz otoczenie, poruszyłoby człowieka nawet z kamiennym sercem, gdyż dziesiątki metrów, były wypełnione samymi nazwiskami.

Nadmieniam, że i ja osobiście nad swoim legowiskiem umieściłem swoje informacje. Po dwóch tygodniach pobytu w baszcie zostałem przeniesiony do więzienia na Zamku Lubelskim, na IV oddział I piętro do celi jak pamiętam nr 29. Cella więzienna była o rozmiarach 4 x 5 m. Dookoła były drewniane prycze bez sienników, a do przykrycia było zaledwie parę koców. Cella więzienna była bez żadnego ogrzewania. Dla załatwienia spraw fizjologicznych służył 60 litrowy pojemnik, który opróżnialiśmy raz na dobę. W tej celi przebywało od 20 do 35 więźniów. Na przesłuchania wzywano nas przeważnie nocami. Przesłuchanie odbywało się na dziedzińcu Zamku w małym pomieszczeniu, w którym mieścił się stół i dwa krzesła. Na przesłuchanie byłem doprowadzany przez służbę więzienną. Same przesłuchania były prowadzone różnymi metodami, **dla przykładu wchodząc do tego pomieszczenia już w drzwiach zostałem uderzony pistoletem w twarz, w tym momencie oblewa mnie krew płynąca z ust i nosa, a na otarcie dostałem szmatę. Po chwili kazano mi siadać na krzesło i odpowiadać na pytania. W innych przypadkach bito mnie po gołym ciele kablami, na skutek czego byłem strasznie posiniaczony.** Na następnym przesłuchaniu położono na stole pistolet, przesłuchujący mnie celowo odchodził do okna, kątem oka obserwował moje ruchy i zachowanie, następnie wrócił i pyta: „*Jaki z Ciebie partyzant?*” – i uderzył mnie w twarz. Po chwili mówi do mnie: „*Mów o dalszej przynależności do AK w Lublinie i kto jest twoim dowódcą?*”. Podczas innych przesłuchań byłem katowany, w ten sposób, że wsadzano mi igłę pod paznokcie oraz wkładając palce w zamykające się drzwi, było to okropnie bolesne. Takie przesłuchania były prowadzone prawie co tydzień.

W porze nocnej często robiono pobódkę i kazano czołgać się na korytarzu po oblodzonej posadzce, na której celowo były pobite szkła, przez cały korytarz, tam i z powrotem, pomiędzy szpalerem „ubowców”, którzy bili kablami po plecach. Stosowano wobec nas nieludzkie tortury, między innymi **wsadzano nas na dobę lub dwie do karceru, a było to pomieszczenie 1x1 m. Panowało tam przenikliwe zimno, jak w lodowni, były jedynie dwa otwory wentylacyjne, po to by więzień się nie udusił, z góry skapywała lodowata woda, która sięgała po kostki. Co dwie godziny przez okrągły otwór wartownik sprawdzał, czy jeszcze żyję. To było straszne konanie. Tego bym nawet najgorszemu wrogowi nie życzył.** Z powodu stosowania wobec mnie nieludzkich tortur i bicia zachorowałem na płuca i owrzodzenie żołądka. Służba więzienna widząc moje niedomagania zdrowotne,

potwierdzone przez felczera więziennego, postanowiła mnie zwolnić z więzienia na Zamku Lubelskim w dniu 2 lipca 1945 r. . Po wyjściu z więzienia prowadziłem intensywne leczenie szpitalne w Bydgoszczy i Szczecinie oraz w innych szpitalach. Na skutek tych przeżyć, do chwili obecnej mam koszmarne sny, nie mogę normalnie wypocząć. Od 1945 r. do dziś towarzyszą mi różne nasilenia, niepokój, bóle głowy, bardzo często jestem rozdrażniony i podenerwowany. Coraz częściej tracę opanowanie i pamięć. Jestem przekonany, że te przeżycia więzienne przyczyniły się do utraty mojego zdrowia.

BRACIOM NIEDOLI DANEGO SŁOWA DOTRZYMALEM.....

W więzieniu na Zamku Lubelskim przebywałem pod innym nazwiskiem, jako Furtak Władysław urodzony 22 stycznia 1926 r. w Lublinie i to uratowało mi moje życie. Po wyjściu z więzienia na Zamku Lubelskim i podleczeniu się z nabytych chorób, z wolna wracałem do normalnego życia, ale więzienne doświadczenia pozostały mi w pamięci na zawsze. Kolegów którzy przebywali razem ze mną w jednej celi, do samej śmierci nie wolno zapomnieć, gdyż uzgodniliśmy między sobą to, że kto zostanie przy życiu, niech kiedyś wspomni o naszej tragedii życiowej. Pozostało mi w pamięci paru kolegów, przebywających wraz ze mną w jednej celi więziennej. Jeden z nich **Stasiu Bocian pochodził z Lublina** i mieszkał za Zamkiem, miał tylko matkę, gdyż ojciec już nie żył. Matka prowadziła małe ogrodnictwo. Ponadto miał brata Czesława i siostrę mężatkę. **Gdy oprawcy zabierali go do separatki – wiadomo po co – żegnając się ze mną prosił, abym gdy zostanę przy życiu kiedyś o nim wspomniał, że taka osoba istniała.**

Siedział również ze mną jeden pan też z Lublina, którego nazwiska nie pamiętam, wiem tylko że był z ulicy Zamojskiego i miał prywatną fabryczkę pilników, losy jego nie są mi znane. Siedział ze mną również mecenas z Lubartowa, dość poważna osoba, żołnierz i oficer Armii Krajowej Okręgu Lubelskiego, który odznaczał naszego dowódcę dywizji. Był on średniego wzrostu i dość otyły. Właśnie on mi zawsze dodawał otuchy pamiętam, jak do mnie mówił: „*Ty będziesz żył, ale ja nie! Wspomnisz w przyszłości o mnie, że ja ciebie pocieszałem.*” . Spaliśmy obok siebie i jego słowa wspominam do dziś, niestety nazwiska nie pamiętam, mimo iż było bardzo krótkie. Co się z nim stało nie wiem. Pozostał mi w pamięci pan Korsak, pochodził z Białostockiego, był niskiego wzrostu, ciemny blondyn. On bardzo przeżywał, to co jego spotkało, ciągle powtarzał: „*Po co ja tak cierpię?*” . Pamiętam, że palił papierosy, za papierosa oddawał swoją kromkę chleba. Jak potoczyły się jego losy, też nie wiem.

Siedział ze mną Czesiu Piekula, pochodził z Szostarki, żonę miał z Poznańskiego. Został zwolniony z więzienia podczas mojego pobytu. Siedział ze mną Władysław Chmura z Gościeradowa, o jego losach też nic nie wiem. Siedział ze mną Jan Burak z Polichna z zawodu kowal, o jego dalszych losach, także nic nie wiem. Siedziało ze mną dwóch braci Niewiadomskich, jeden miał na imię Tadeusz, pochodził z Kraśnika, także o ich losach dalszych, nic mi nie wiadomo. Siedział ze mną Kamiński, był wysoki i pochodził z Warszawy. Był nieco chorowity, miał problemy z żołądkiem. Był cudownym artystą – śpiewakiem, pomimo głodu zawsze śpiewał. Stawał przy oknie, a głos jego brzmiał na cały dziedziniec Zamku. Początkowo miał z tego tytułu kłopoty, ale to wszystko się utarło, nawet służba więzienna, już tego śpiewania nie broniła i z zachwytem słuchała. Był to bardzo inteligentny człowiek, ale co się z nim stało później, tego już powiedzieć nie potrafię. Pozostało mi w pamięci z celi więziennej nazwisko Jan Kwiatkowski, pochodził z Niedzicy koło Lublina, o dalszych jego losach, nic mi nie wiadomo.

Jestem zobowiązany wspomnieć księdza kapelana Antoniego Dąbrowskiego ps. „Rafał”. Podczas mojego pobytu w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa

Publicznego jako aresztowany, w piwnicznych pomieszczeniach **słyszałem odgłosy bicia oraz jęki naszego księdza kapelana Antoniego Dąbrowskiego, którego po tych dochodzeniach nikt już nie widział – znikł z tego świata. Prawdopodobnie został wywieziony do lasu i tam zamordowany**, takie są twierdzenia. Księdza postać pozostała na zawsze w naszych sercach, pozostawiając po sobie wierność Bogu i Ojczyźnie. Ksiądz kapelan Dąbrowski w najgorszych sytuacjach pocieszał żołnierzy i podtrzymywał na duchu. Po rozbrojeniu naszej Dywizji tj. 25 lipca 1944 r. w Skrobowie koło Lubartowa, ksiądz kapelan Dąbrowski pracował w aptecce lubelskiej. Co ważne, w wolnym czasie odprawiał msze święte w Katedrze Lubelskiej, w których uczestniczyliśmy. Właśnie w tym czasie został aresztowany i do dziś ślad po nim zaginął.

Na koniec pragnę wspomnieć moją żonę Helenę Furtak obecnie Życzko, która również swój młodzińczy wiek, spędziła w celi więziennej Zamku Lubelskiego. Przeżyła te same tragedie życiowe: przesłuchania, tortury, za to tylko, że walczyła o Polskość, o wiarę dla przyszłego pokolenia. Oto treść stosownych zaświadczeń wydanych i przesłanych mi i żonie z Instytutu Pamięci Narodowej w Lublinie w dniu 14.11.1990 r.:

I dokument: „Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich – Instytut Pamięci Narodowej w Lublinie w oparciu o posiadane dokumenty /Księga główna więźniów śledczych Lublin za okres od 25.10.1944 r. do 22.02.1945 r. k.17, poz. 169/ informuje, że Furtak /!/ Władysław vel Życzko Czesław s. Władysława i Rozalii, ur. 22.01.1926 r. osadzony został w więzieniu na Zamku w Lublinie 19.11.1944 r. pod zarzutem przynależności do Armii Krajowej. Do więzienia przybył z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie. Zwolniony został 02.07.1945 r.”

II dokument: „Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich – Instytut Pamięci Narodowej w Lublinie w oparciu o posiadane dokumenty /Księga główna więźniów śledczych Lublin za okres od 22.10.1944 r. do 22.02.1945 r. k.17, poz. 170/ informuje, że Furtak /!/ Helena, córka Andrzeja i Franciszki, ur. 16.03.1927 r. osadzona została w więzieniu na Zamku w Lublinie 19.11.1944 r. pod zarzutem przynależności do Armii Krajowej. Do więzienia przybyła z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie. Zwolniona została 20.01.1945 r.”

Wspomniani tu powyżej moi przyjaciele z celi więziennej pozostali mi na zawsze w pamięci. Niestety dotychczas nie udało mi się z żadną osobą skontaktować, ponieważ życie ma swoje granice, wszystko się zaciera i życie się kończy. Aby uczynić zadość, przeto w swej relacji życiowej postanowiłem, bodajże skromnie pozostających w mej pamięci utrwalić na kawałku papieru, tak by o tym tragicznym okresie nasze pokolenie pamiętało. Pragnę ponadto zostawić po sobie słowa piosenki z celi więziennej Zamku Lubelskiego, oto one:

I *Lubelskie mury, więzienne kraty
A za kratami młodości kwiat
Twarze ich blade, wzrok ich ponury
Bo siłą im wyrwano świat.*

II *Idę po schodach, drzwi są otwarte
A wokół stołu kaci już są
Wszyscy się śmieją i popychają
Endecka mordo oddaj broń.*

III *Wzrokiem ponurym patrzę w okno IV
Co ci oprawcy ode mnie chcą
Stawiam pytanie, dostaję lanie
I we drzwiach palce gniotą mnie.*

*Wracam do celi mocno pobity
Grono kolegów otacza mnie
Dajcież mu miejsce, miękkie posłanie
Niech ten męczennik odpocznie snem.*

W SŁUŻBIE OJCZYŹNIE I KRESOM

Po zwolnieniu z więzienia na Zamku Lubelskim odbyłem długie leczenie, ponieważ zapadłem na choroby płuc i nieżyt żołądka. Gdy po pewnym czasie odzyskałem siły, odnalazłem moją sympatię Helenę Furtak i już w 1946 r. zawarliśmy związek małżeński. Następnie poszukiwaliśmy z żoną jakiegoś cichego kątku, aby ustabilizować swoje własne i tak już mocno nadszarpnięte życie. W 1950 r. wyjeżdżamy na zachód do miejscowości Czaplinek, tutaj właśnie rozpoczynam pracę

jako listonosz, następnie jako asystent. Po pewnym czasie ukończyłem wymagane wykształcenie i awansuję na kontrolera Urzędu, by w końcu zostać Naczelnikiem Poczty. Od 1983 r jestem w stanie spoczynku tj. na emeryturze. Rodzina moja składa się z pięciorga dzieci, posiadają również średnie wykształcenie.

Pomimo zaangażowania w pracę i w utrzymanie licznej rodziny, nie zapominaliśmy z żoną Heleną o naszym kresowym, wołyńskim rodowodzie. Wołyń i nasze rodzinne strony zawsze były obecne w naszych myślach i wspomnieniach, często wracaliśmy także myślami do chlubnych dziejów 27 Wołyńskiej DP AK. Nigdy nie zapomnieliśmy naszych Ojców i Matek, Braci i Sióstr, którzy tam na Wołyniu zostali już na zawsze. Bolało nas bardzo, że do dziś nie mają własnej mogiły, godnego pochówku i choćby prostego Krzyża. Jednak tu na Pomorzu w Czaplunku, wspominani byli zawsze, to dodawało nam otuchy, było zawsze wielkim pocieszeniem. Nigdy zresztą nie traciliśmy nadziei, że może będzie jeszcze taki czas, że dzięki staraniom, tych którzy przeżyli rzeź Wołynia, w Kisielówce stanie katolicki Krzyż, na pamiątkę tych wszystkich, którzy tam spoczęli na wieczną wartę. Ostatnie lata naszego życia przyniosły zasadnicze zmiany w tej części Europy. Po upadku komunizmu i odzyskaniu pełnej niepodległości przez Polskę, pojawiły się realne szanse, by nasze marzenia mogły się w końcu spełnić.

Bardzo prężną działalność na rzecz upamiętnienia naszych wołyńskich losów i dziejów 27 Wołyńskiej DP AK, rozwinęło środowisko naszych żołnierzy na ulicy Chłodnej w Warszawie. Powstało wiele pożytecznych dzieł, do najbardziej chlubnych zaliczam pomnik 27 Wołyńskiej DP AK na Żaliborzu przy Alei Armii Krajowej na tzw. Skwerze Wołyńskim oraz monumentalną pracę Władysława i Ewy Siemaszko pt.: „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945 tom I i II.” Nie mija nas i osobista satysfakcja bowiem w stosownym czasie tj. 12.02.2002 r. przesłaliśmy na ręce pana Władysława Siemaszko i jego córki Ewy materiały, które posiadaliśmy z żoną Heleną na temat losów mieszkańców kolonii Kisielówka i okolic.

Poza tym liczne kontakty, które utrzymywaliśmy z żoną przez całe lata, z wieloma przyjaciółmi, zarówno z Wołynia jak i spośród byłych żołnierzy naszej 27 Dywizji, pozwoliły nam na poczynienie pewnych, prywatnych działań. W domu zachowała się bardzo bogata korespondencja z tego czasu oraz wiele pamiątek, mówiących o naszej kresowej tożsamości. Dla przykładu List, który otrzymałem od żołnierza 27 Wołyńskiej DP AK Leona Karłowicza ps. „Rydz”:

„Pszczela Wola, dnia 28.01.2002 r. Drogi Czešku!

Otrzymałem dziś Twoje materiały. Bardzo za nie dziękuję. Wszystko jest cenne, bo stanowi dokument naszych tragicznych losów. Powinno też być odpowiednio wykorzystane. Spróbuję dowiedzieć się w Lubelskim Archiwum Państwowym, czy nie ma tam depozytów z Zamku. Jeśli są, to czy można je odebrać. Odpiszę Ci, jak załatwięm. Relacja Twojego Ojca jest także ważnym dokumentem. Wiesz chyba, że od lat opracowują takie relacje. Ukazały się już w druku dwie duże książki z tej dziedziny, trzecia jest w tej chwili w druku, do czwartej gromadzą materiały i przysłana przez Ciebie relacja Ojca, też tam się znajdzie. Współpracujemy na co dzień z Leonem Popkiem, z tym że ja opracowuję taksty, On zajmuje się zdjęciami, opisuje je, segreguje na powiaty, bo w takim układzie, powiatami układamy i relacje.

Wiosną chcemy zorganizować poświęcenie naszej Kaplicy w Kalkowie, a także Krzyża – pomnika nad Prypecią, w miejscu kolumny kpt. „Gardy”. Krzyż już stał, pozostały drobne prace wykończeniowe przy nasypie, ale to już tylko margines tych czynności. O dacie poświęcenia ma zdecydować pan Przewoźnik z Rady Ochrony Pamięci..., bo On zamierza także w tym czasie zorganizować poświęcenie cmentarza w Przebrażu. Może tym razem wreszcie się uda. Był projekt w związku z tymi uroczystościami zorganizować Zjazd Dywizji na Wołyniu, w Szacku lub w Kowlu, ale obawiam się, że nie dojdzie do tego, gdyż jakoś ślamazarnie zbierają się nasi Warszawiacy. Zobaczymy. Dziękuję raz jeszcze, serdecznie pozdrawiam i ściskam Twoją dłoń. Leon Karłowicz”. To tyle z Listu Leona do mnie.

W lipcu 1992 r. w Zamościu powstało Stowarzyszenie Upamiętnienia Polaków Pomordowanych na Wołyniu w latach 1939 - 1945. Bliskie kontakty nawiązałem z sekretarzem tego Stowarzyszenia panią Teresą Radziszewską oraz innymi osobami. W celach zamojskiego Stowarzyszenia widzieliśmy z żoną realizację i naszych celów, o które walczyliśmy całe życie, oto one:

- Ustalenie wszystkich miejscowości na Wołyniu, obecnie nie istniejących, ponieważ zostały zniszczone przez Ukraińców OUN-UPA, a ich ludność okrutnie pomordowana. Naniesienie tych miejscowości na mapy.
- Ustalenie oraz zebranie w indeks wszystkich Polaków zamieszkałych na Wołyniu, a pomordowanych w latach 1939-1945.
- Ustawienie Krzyży w miejscu złożenia pomordowanych i umieszczenie tablic upamiętniających oraz odprawienie mszy pogrzebowych.
- Zbieranie wspomnień i przeżyć z lat II wojny światowej, dotyczących rzezi wołyńskich oraz przekazywanie do Archiwum Wschodniego w Warszawie.
- Stała opieka na Kryptą w Zamojskiej Rotundzie i dalsze umieszczanie tablic z nazwiskami pomordowanych na Wołyniu.
- Organizowanie wycieczek na Wołyń z uwzględnieniem dotarcia do dawnych miejsc zamieszkania.
- Niesienie pomocy w odnawianiu na Wołyniu poskich rzymsko-katolickich kościołów.

W czerwcu 2003 r. na zaproszenie pani Teresy Radziszewskiej przybyłem do Zamościa, by wziąć udział w uroczystościach na Zamojskiej Rotundzie, gdzie znajduje się monumentalna Krypta Wołyńska. Zgodę na urządzenie tego miejsca pamięci wydał 21 czerwca 1991 r. pan Marcin Zamojski, przewodniczący Miejskiego Komitetu Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Zamościu. Pracami pokierowali inicjator i projektant Krypty pan Prof. Włodzimierz Sławosz Dębski z Lublina, oraz Stanisław Piwkowski ps. „Wrzos” żołnierz 27 Wołyńskiej DP AK, Teresa Radziszewska, Alfreda Magdziak, Józef Pilczuk, Janina Gruszka, Stefania Sławińska, Kamila Ostasz i inni, wszyscy przeważnie z Zamościa. Uroczystość poświęcenia Krypty miała miejsce, już rok później i była specjalnie przygotowana, przewodniczył ks Infułat Jacek Żurawski, obecne były władze miasta Zamościa, orkiestra wojskowa i kompania honorowa Wojska Polskiego. Przybyło bardzo wielu dawnych mieszkańców Wołynia, w sumie około 500 osób. Spotkanie było pełne wzruszeń, łez oraz wspomnień, spotkali się bowiem po 49 latach dawni sąsiedzi, znajomi i rodziny, spotkali się jakoby na wspólnej mogile swoich bliskich. Właściwie wszyscy uczestnicy uroczystości na Rotundzie, wyrażali wielką chęć organizowania wyjazdów na Wołyń, bardzo chcieli odwiedzać te miejsca, z których zmuszeni byli uciekać w roku 1943.

Po uroczystościach religijnych o godz. 13.00 miało miejsce spotkanie w kinie „Stylowy” – obecnie Kościół Ojców Franciszkanów na Starym Mieście. Uczestnicy wysłuchali koncertu Włościańskiej Orkiestry im. Karola Namysłowskiego, w tym pieśni skomponowanych specjalnie na tę uroczystą chwilę. Profesor Sławosz Włodzimierz Dębski w swoim przemówieniu do zebranych powiedział i tak: **„Słuchajcie Wołyniaki mamy już wspólną Wołyńską Mogiłę, a skoro tak licznie dzisiaj tutaj zebraliście się, to zobowiązuję Was do spisania wszystkich wspomnień z Wołynia, naszej wojennej gehenny. I żeby to brzmiało jeszcze lepiej, to zobowiązuję także panią Teresę Radziszewską do założenia naszego wołyńskiego Stowarzyszenia.”** . Jak mawiała potem nie raz pani Teresa, którą darzę wielkim szacunkiem: *„Nie miałam wyjścia, trzeba było dalej kontynuować sprawę Wołynia.”*

I tak oto kiedy blisko 11 lat potem przybyłem i ja osobiście na Rotundę, by modlić się w tym miejscu i w tej Krypcie, tam właśnie spotkałem i poznałem młodego historyka mgr Sławomira Roch z Zamościa. Dzięki życzliwości pani Tereski dowiedziałem się, że ten młody człowiek podjął się bardzo trudnej, ale jakże potrzebnej pracy, której celem jest książka poświęcona życiu i wojennym losom, byłych mieszkańców katolickiej parafii Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Swojczowie. Byłem szczęśliwy i zdecydowany, by pomóc w ramach moich

możliwości, przecież ta książka była i jest pisana dla nas Swojczaków. Podałem swój adres i numer telefonu i wstępnie umówiłem się, że w miarę szybko prześlę do Zamościa wszystkie materiały, które z taką pieczołowitością przez lata zbierałem i gromadziłem. Zaprosiłem także pana Sławomira Rocha do siebie do Czaplinka na Pomoże, mówiłem serdecznie: „...*jeśli czas pozwoli, to proszę do mnie przyjechać, wtedy będę mógł z żoną Helą opowiedzieć znacznie więcej, o naszych przeżyciach na Wołyniu*”. Jakże wielka była nasza radość, moja i żony Heleny, kiedy pan Sławomir Roch rzeczywiście do nas zawitał, było to w piątek 25 marca 2004 r..

Przez następnych kilka dni, razem pisaliśmy nasze rodzinne wspomnienia z kolonii Kisielówka na Wołyniu. Starąłem sobie się przypomnieć wszystko, co ważne, udostępniłem także nasze zdjęcia rodzinne z Wołynia oraz z chlubnego szlaku bojowego 27 Wołyńskiej DP Armii Krajowej. W sobotę pisaliśmy niemal przez cały dzień, a na 18.00 udaliśmy do naszego kościoła pw. Podwyższenia Krzyża Świętego. Razem z panem Sławomirem uczestniczyliśmy we mszy świętej, a po niej pokazałem naszemu gościowi tablicę pamiątkową, którą ufundowaliśmy z myślą o Tych, którzy odeszli, ale także o tych, którzy przyjdą jeszcze po nas. W następnych dniach spisywane były wspomnienia mojej żony Heleny, a w poniedziałek 28 marca udaliśmy się do pani Marii Nowickiej, mieszkanki Czaplinka, która również mieszkała i zmuszona była uciekać z kolonii Kisielówka. To był niezapomniany czas, tych kilka dni, kiedy mogliśmy gościć pana Rocha u siebie, staraliśmy się z żoną, aby mu niczego nie brakowało i wspólnie spożywaliśmy posiłki. Byłem wdzięczny Bogu, że dał nam ten czas, czas tak pożyteczny, dla nas wszystkich, dla naszej ojczyzny. I kiedy we wtorek żegnaliśmy naszego historyka, modliłem się, by ta nasza praca wydała dobre owoce i by została jakaś pamięć, o tamtych ludziach i o tamtych dniach na Wołyniu.

ZAKOŃCZENIE

Od czasów wojny i okupacji minęło wiele lat, a nieubłagane płynący czas powoli zaciera w naszej pamięci szczegóły tamtych dni. Wielu ich uczestników odeszło już na zawsze z tego świata i z dnia na dzień zmniejsza się liczba żyjących. Niektóre jednak z tych wydarzeń, które przeżyaliśmy i których byliśmy świadkami wryły się na zawsze w sercach i pamięci, a żaden upływ czasu nie jest w stanie odsunąć ich w niepamięć. Po wielu latach jakie upłynęły od tego czasu, wydaje się nam nieraz, jak gdyby był to jakiś sen, jakbyśmy to nie my byli wówczas uczestnikami tamtych zdarzeń. **Podświadomie siła Boża każe nam mówić o tym czego byliśmy uczestnikami i przekazać młodym pokoleniom te fakty, aby nie uległy zapomnieniu i nie pokryły się na zawsze mgłą niepamięci; aby przeszły one do skarbnicy doświadczeń Narodu i aby ludzie biorący w nich udział, tym samym doczekali się właściwej oceny.** Nie znamy tego, co czeka nasz kraj w przyszłości. Patrząc na to do czego było zdolne moje pokolenie, patrząc na ten ogromny wysiłek włożony w obronę Polaków i Polski we wrześniu 1939 r., patrząc wreszcie na poniesioną ofiarę za wolność naszych dzieci i wnuków mam nadzieję, że dzisiejsza Polska nie zginie, jak nie zginęła przed 60 laty. Mam nadzieję, że Polska nie zginie nigdy.

Ppor. Czesław Życzko ps. „Orwid”

Wspomina Helena Życzko z domu Furtak ps. „Pszczółka”

Nazywam się Helena Życzko, mam 77 lat, mieszkam w miasteczku Czaplinek 12, gm. Czaplinek, powiat Drawsko-pomorskie, woj. Zachodnio-pomorskie. Urodziłam się 16 marca 1927 r. we wsi Jata, powiat Nisko, woj. Rzeszowskie. Mój tatuś miał na imię Andrzej Furtak, niestety nie pamiętam jego rodziców, pomarli bowiem podczas I wojny światowej na tyfus. W tym czasie mój tatuś walczył na

froncie w szeregach armii austriackiej i dostał się do rosyjskiej niewoli, skąd udało mu się wrócić do kraju. Moja mamusia miała na imię Franciszka i była z domu Żybura, jej rodziców, też niestety nie pamiętam, jedna babcia miała chyba na imię Katarzyna. Mamusia pochodziła również z Rzeszowskiego z miejscowości Zalesie, powiat Nisko. Ja Helena Furtak zostałam ochrzczona we wsi Zalesie w kościele katolickim, a gdy miałam zaledwie 1 roczek moi rodzice postanowili wyjechać na Wołyń. Tak właśnie trafiliśmy do polskiej kolonii Kisielówka, ponieważ tatusiowi bardzo spodobały się tamte strony. Tatuś kupił nasz pierwszy dom, który uległ jakiś czas potem spaleni, wtedy tatuś pobudował nowy, drewniany dom. Miałam 5 latek, gdy urodził się mój braciszek Eugeniusz, a dwa lata po nim urodziła się jeszcze siostra Czesława. Moje dzieciństwo było spokojne i bardzo radosne, żyliśmy w zgodzie z naszymi sąsiadami i nie przypominam sobie, aby moi rodzice mieli jakichś wrogów. Nasza kolonia była zamieszkała w większości przez Polaków, chociaż było też cztery rodziny ukraińskie w tym: Krzeszowiec, Majstruk i Stankiewicz. Dwie rodziny było żydowskie oraz cztery niemieckie.

LATA SZKOLNE W TUMINIE

Do szkoły zaczęłam chodzić w roku 1934 do Tumina, miałam tam wielu kolegów i koleżanek. Lubiłam szkołę bowiem było tam mnóstwo okazji do zabaw, szczególnie lubiłam grać w siatkówkę oraz w dwa ognie. Właściwie częściej przebywałam w towarzystwie chłopczysków niż dziewcząt, taka już byłam. Lubiłam się też uczyć, a już najbardziej interesowała mnie biologia. Chociaż byłam jeszcze małą dziewczynką, ale często brałam udział w szkolnych przedstawieniach, dla przykładu w Jasełkach. Do dziś przypominam sobie taką sztukę, którą wystawiali nasi uczniowie, w większości chłopcy, ale oczywiście i dla mnie coś się znalazło. W naszej szkole był również ładny chór złożony z uczniów naszej szkoły pod kierownictwem nauczyciela Józefa Nowaka, który przyjechał do nas z Poznańskiego. Pamiętam, że sama się zgłosiłam na wstępne przesłuchanie mojego głosu, wypadło to dobrze i pan Nowak włączył mnie do szkolnego chóru. Tak to zaczęła się moja szkolna przygoda ze śpiewaniem, która trwała aż do wybuchu wojny w 1939 r.. Wraz ze mną na chórze śpiewała Leokadia Jackowska z kolonii polskiej Apanowszczyzna.

Wszystkie nasze występy ograniczały się do uroczystości świątecznych i okolicznościowych w naszej szkole. Już przed wojną miałam doświadczenia z bronią bowiem nasz nauczyciel Nowak, jako oficer Armii Polskiej, organizował dla nas ćwiczenia wojskowe na placu przyszkolnym. Mieliśmy tam górę z ziemi i właśnie tam odbywały się ćwiczenia ze strzelania. Byłam w piątej – ostatniej klasie przed wybuchem wojny w 1939 r., gdy pierwszy raz strzelałam z karabinu do celu. Okazało się że oko miałam dobre, bo dobre miałam wyniki strzeleckie. Takich strzelań było conajmniej kilka i nawet wtedy nie przypuszczałam, jak bardzo przyda mi się to w niedalekiej przyszłości. Warto dodać, że nasza szkoła była miejscem zgodnego życia koleżeńkiego dla wszystkich i Polaków i Ukraińców. A chociaż byli też wśród nas Żydzi i Niemcy, pomimo takiej różnorodności panowała uprzejmość i dobroć, nie przypominam sobie żadnych aktów agresji, a nawet zauważalnej niechęci.

W OPIECE U MATKI BOŻEJ ZE SWOJCZOWA

Moi rodzice byli ludźmi pobożnymi, którzy w takiej wierze wychowywali mnie i moje rodzeństwo. Dlatego co niedzielę udawaliśmy się przez pola do kościoła w Swojczowie. Na mszę świętą ludzi przychodziło dużo, wszyscy modlili się gorąco i głośno śpiewało się pieśni religijne. Pomagał nam nasz parafialny chór, który zawsze mnie zachwycał wykonaniem religijnych utworów, niestety byłam jeszcze za mała, aby móc i tam próbować swoich sił i talentów. Pamiętam, że nasz kościół był piękny, ujmował bardzo ładny Ołtarz główny z Obrazem cudami słynącym Matki Bożej

Swojczowskiej. Legenda głosiła, że w tym miejscu na drzewie lipie ukazała się Matka Boża, a po latach ludzie wystawili tu naszą świątynię. Ujmowały i podobały się także Ołtarze boczne, ale nie mogę już dziś spamiętać komu były poświęcone. Bardzo się z tym miejscem związałam, tak że przed wojną i już po wojnie wiele razy myślami wracałam w tamte miejsca, pomimo tego że mam świadomość, że nasz kościół w Swojczowie, już nie istnieje. Na szczęście ocalał nasz kochany Obraz Matki Bożej ze Swojczowa, obecnie znajduje się w Otwocu i tam właśnie kilka lat temu pielgrzymowałam na uroczysty Odpust 08 września. Moje odczucia, a także moja miłość do Maryi Niepokalanej Swojczowskiej, znalazły odbicie w moich snach, szczególnie w ostatnich latach, kiedy wiele razy śnił mi się nasz cudowny Obraz, gdy jeszcze był w Ołtarzu w Swojczowie. Dla przykładu widziałam, jak żywą naszą procesję dookoła naszego swojczowskiego Kościoła, horągwie i ludzi śpiewających na cześć Matki Najświętszej.

Rzeczywiście przed wojną wiele razy brałam udział w takich uroczystościach, jeszcze jako mała dziewczynka. Chodziłam wtedy przy szarfie od chorągwi i sprawiało mi to radość. Zachęcała mnie do tego i właściwie kierowała wszystkim moja ciocia Zofia Żybura z kolonii polskiej Jaworówka. Pamiętam, że ciocia Zofia była dla mnie bardzo dobra i serdeczna, pomagała mi przygotować się do pierwszej Komunii świętej. Ponieważ wybrała samotny styl życia, miała dużo czasu i mogła także poświęcić swój czas. Była osobą bardzo pobożną i często udzielała się w naszym kościele, dla przykładu wraz z innymi kobietami stroiła nasz Ołtarz ozdobnymi kwiatami. Należała także do Żywego Różańca, w którym prowadziła nawet grupę młodzieżową, było w niej 15 dziewczyn, a moja ciocia była zelatorką. Oczywiście wciągnęła i mnie do Żywego Różańca, dlatego i ja już od 1942 r., od mojego sakramentu Bierzmowania, należę do Kółka Różańcowego i nie przerywam mojej modlitwy już od prawie 60 lat. Do dziś modłę się na różańcu i wierzę głęboko, że to nabożeństwo bardzo pomogło mi w moim życiu, właśnie w nim powierzyłam Bogu całe moje życie.

Niestety moja ciocia Zofia oraz cała nasza rodzina z Jaworówki, została bestialsko zamordowana na Piaskach w Jaworówce. Sprawcami tego zbrodniczego mordu byli Ukraińcy, którzy Ich tam zgromadzili i wystrzelali. To było jednak kilka lat później, póki co było u nas spokojnie, a ja przygotowywałam się do I Komunii świętej. Nauki wstępne do tej uroczystości odbywały się w naszej szkole i prowadziła je nauczycielka religii Zofia Suska. Pamiętam, że dzień mojej I Komunii świętej był piękny i słoneczny, miałam ładną białą sukienkę, długą do ziemi i byłam z niej bardzo zadowolona. Uszyła mi ją moja ciocia Zosia, która z zawodu była krwawcową, to był cudowny czas mego dzieciństwa i nigdy tego nie zapomnę.

SOWIECI – OSWOBODZICIELE OD WSZYSTKIEGO.....

Trzeba jasno podkreślić, że aż do wybuchu wojny, było u nas spokojnie i nic właściwie nie ulegało zmianie. Ja sama nic nie wiedziałam o tym, że ma wybuchnąć jakaś wojna, polityka mało mnie interesowała, a płakałam, że we wrześniu nie mogę iść do szkoły. Docierał do mnie w tych dniach i szum i płacz, że nasze chłopaki idą na wojnę. Lecz oto wojna szybko się skończyła i przyszli do nas Sowieci – „oswobodziciele od wszystkiego”. Pamiętam, że gdy wkraczali Sowieci to Ukraińcy i Żydzi witali ich kwiatami i budowali bramy powitalne, tak przynajmniej opowiadali sobie ludzie w naszej okolicy, ja sama nie byłam świadkiem takich rzeczy.

Pamiętam jak Sowieci tumanili nas dzieci i młodzież, wszystkich, że Boga nie ma, że tylko Józef Stalin daje „konfiety”, namawiali przy tym ludzi gorąco, aby przystępowali do kołchozów, a swoje dzieci posyłali do nowych sowieckich szkół, nazywanych „Ochrankami”. Ale oczywiście taka propaganda sowiecka nie odnosiła większego skutku, bowiem ludzie nie chcieli oddawać swych gospodarstw, tak że w

naszej okolicy powstał tylko jeden kołchoz w Tuminie, na gospodarstwie hrabiego Szumińskiego. Trzeba powiedzieć, że choć nie było nam łatwo w tym czasie, ale wobec tego co miało na nas przyjąć, to było jeszcze dość spokojnie. **Katorgia Narodu Polskiego zaczęła się od sowieckich wywózek na straszną Syberię, a tam na „niehumanitarnej ziemi” ludzie ginęli masowo i bezpowrotnie. Także nasza rodzina nie uniknęła i tej formy prześladowań**, bowiem zabrano naszego wujka Żyburę, jego żonę i czworo dzieci, a od tej pory wszelki ślad po nich zaginął. Zapewne, tak przypuszczamy zginęli, gdzieś tam w śniegach i mrozach syberyjskich bezkresów, dochodzących do minus kilkadziesiąt stopni. Nie wiem jak potoczyłoby się i nasze losy, gdyby Niemcy nie uderzyli na Sowieców nieco później. Jest mi bowiem wiadome, że ja i wielu innych Polaków z kolonii Kisielówka, miało być wywiezionych na Syberię jeszcze w czerwcu 1941 r.. Z woli Bożej Opatrzności tak się jednak nie stało i ja i moja rodzina znaleźliśmy się w „miłych” objęciach maszyny hitlerowskiej. Tak rozpoczął się ostatni akt „wołyńskiej drogi” polskiej społeczności, ale o tym nikt z Polaków jeszcze na Wołyniu nie wiedział i wiedzieć właściwie nie mógł.

BANDEROWCY POKAZUJĄ PRAWDZIWE OBLICZE.....

Wkroczenie Niemców na nasze tereny odbyło się, bez większych napięć i tragedii, nie słyszałam o jakichś przykładach szczególnego okrucieństwa ze strony Niemców, czy o jakichś wystąpieniach ze strony Ukraińców. Było nadal cicho i spokojnie, a sytuacja ta nie zmieniła się przez cały następny rok. Jednak w drugiej połowie 1942 r. zaczął narastać niepokój wśród Polaków, coraz częściej zdarzały się bowiem przypadki zaginięcia pojedynczych osób. Ludzie Ci ginęli w niewyjaśnionych okolicznościach, a ja coraz częściej słyszałam na naszej kolonii, że to Ukraińcy są sprawcami tych skrytobójczych zbrodni. Pierwszym przypadkiem, który utkwił mi w pamięci był napad na rodzinę Romanowskich, którzy mieszkali w kolonii Augustów i posiadali swój Wiatrak. Słyszałam w tych rozmowach, że Ich Ukraińcy pomordowali, a potem podpalili dom, zacierając ślady zbrodni. Potem czasy robiły się już, coraz bardziej niebezpieczne, a ja miałam już 15 lat. Strach narastał także w moim domu i z dnia na dzień stawał się, coraz bardziej nieznośny, rodzice bardzo poważnie obawiali się napadu, także na naszą rodzinę. I trzeba to podkreślić, że już w tym czasie spodziewali się napadu Ukraińców, na całą społeczność polskiej kolonii Kisielówka. W tej sytuacji, często przychodzili do naszego domu sąsiedzi, aby podyskutować o tej groźnej sytuacji, najczęściej bywała pani Rozalia Życzko. Póki co, nasi sąsiedzi Ukraińcy nie okazywali żadnych znaków wrogości wobec nas, może dlatego że Polacy stanowili tu ogromną większość.

Pamiętam dobrze, że jeszcze w maju nasi ludzie publicznie śpiewali majówki pod Krzyżem, który stał na polu Edwarda Czechowskiego, to był Polak z kolonii Czesnówka. A pomimo to, nikt śpiewającym nie przeszkadzał, nikt modlących się nie napastował. Właściwie aż do „Krwawej Niedzieli” – tj. 11 lipca 1943 r. nie słyszałam, aby wydarzyło się, coś tragicznego. Owszem były jak zawsze słuchy, że tam czy tu kogoś zabrali do lasu i już nie wrócił, czasami wprost mówiło się, że banderowcy kogoś zamordowali, ale większego pogromu póki co nie było. Zatem staraliśmy się mimo wszystko zachować spokój, choć nie byliśmy ślepi na to, co się działo dookoła nas. Uważnie śledziliśmy, jak banderowcy prześladowają naszego sąsiada Czesława Życzko, który zmuszony był wiele razy ukrywać się w naszym domu.

Komentowaliśmy także dziwne zachowanie innego sąsiada o nazwisku Stankiewicz, który był Ukraińcem, a który wyjeżdżał niekiedy poza wieś na wypad. Domyślaliśmy się, że należał do bandy napadającej na Polaków, więc mieliśmy na niego oko. Tym bardziej, że raz jeden, ktoś przyuważył, jak do schronu, który Stankiewicz miał za stodołą, znosił różne przedmioty, takie toboły i tam składował.

Oczywiście nie było pewności, ale to mogły być właśnie rzeczy zrabowane z polskich domów w pomordowanych wsiach i koloniach polskich. To on właśnie, gdy przemawialiśmy się razem o wiśnie, czy czereśnie Czechowskiego powiedział do mnie znacząco: „*Niedługo ci to będzie potrzebne!*”. Już wtedy zabrzmiało mi to źle, bardzo nieswojo, a dziś przypuszczam, że on mógł już coś wiedzieć o zbliżającym się mordzie na mieszkańcach Kieselówki. Gdy zaś banderowcy wymordowali cały Dominopol, tak słyszałam od Bronka Nieczyפורowskiego, który jako jeden z nielicznych uratował się z tej rzezi, **w naszych stronach było już bardzo niebezpiecznie. Jeśli dziś myślę o tamtych dniach, to nasuwa mi się automatycznie jedno tylko określenie: „piekło na ziemi, które Ukraińcy zgotowali Polakom”.** A mogło być przecież inaczej, do dziś pamiętam jak Broniek opowiadał nam żywo, jakiś czas przed tym wszystkim, mówił: „*W Dominopolu powstaje polska partyzantka, będziemy razem z Ukraińcami, wspólnie bić Niemca.*”. Broniek pochodził również z Kieselówki i był naszym sąsiadem.

KONIEC KOLONII POLSKICH: KISIELÓWKI I CZESNÓWKI, W SZEREGACH 27 WOŁYŃSKIEJ DP AK

Właściwie, aż po dzień napadu nacjonalistów ukraińskich na naszą kolonię, ta ciężka sytuacja nie uległa zmianie. Tego zaś dnia, kiedy był pogrom, byłam właśnie ze swoją rodziną w lesie, około 700 metrów przez pola, od pierwszych zabudowań. Nagle około południa, może to była godzina 14.00 usłyszałam krzyk ludzi dochodzący z lasu. W lesie bowiem ukryli się niemal wszyscy mieszkańcy naszej kolonii Kieselówka, sąsiednich Czesnówka i Zawąły. Ukraińcy nadjechali „wygonem” , od strony wsi ukraińskiej Tumin, gdy ludzie ich zobaczyli rzucili się do bezwładnej ucieczki. Jednak oprawcy dopadli ostatnich i zaczęli okrutnie rżnąć kogo pierwszego popadło, nie było litości dla nikogo, kogo dopadli zabili, kto uciekł przeżył. Oczywiście nie widziałem tego na własne oczy, ale **dobrze wszystko słyszałam ten lament, ten płacz i ogólny tumult. Przerazały strzały karabinowe, domyślaliśmy że Ukraińcy strzelają naszych, jak kaczki i zające po lesie, zagajnikach, po krzakach, tego nie da się naprawdę opisać, co czuliśmy, co przeżywaliśmy, to było straszne, choć te słowa to za mało.**

Opis wydarzeń znam z późniejszych relacji tych, którzy przeżyli pierwsze ataki rezunów, a których spotkaliśmy i z którymi uciekaliśmy dalej. Ludzie nierzadko mocno poranieni, mówili do mnie obłąkanymi oczami: „*Męża pani mi zabili!*” , albo „*Żonę mi psu braty zabili z dzieckiem!*”. Tego naprawdę nie da się opisać, tego co tam widzieliśmy. Poza tym ludzie byli tak przerażeni, że nawet nie byli w stanie opowiadać szczegółów, to były dosłownie niedobitki naszej wspólnoty zresztą, kto mógł wtedy na gorąco słuchać historii, każdej wyratowanej rodziny, śmierć czaiła się wciąż, niemal za każdym drzewem. Dalsze nasze losy w lesie dość wiernie przedstawił, już mój mąż Czesław, z którym razem uciekaliśmy już do miasta Włodzimierz Wołyński. Zatem nie ma potrzeby powtarzać tego wszystkiego raz jeszcze, mogę tylko i chcę potwierdzić prawdopodobność jego wspomnień.

Od siebie pragnę jeszcze dodać, że gdy podczas ucieczki do miasta dotarliśmy na Cegielnię, stała tam polska samoobrona, spotkałam ludzi którzy pochodzili z polskiej kolonii Jaworówka. Miałam nadzieję, że powiedzą nam jakieś „dobre wieści” o mojej bliskiej rodzinie, niestety bardzo się zawiodłam. Gdy mnie tylko rozpoznali powiedzieli mi tak: „***Helka cała twoja rodzina na Jaworówce została wymordowana przez Ukraińców – bulbowców, którzy napadli na nas o świcie w ostatnią niedzielę. Wszystkich ludzi zebrali razem i powiedli na Piaskownię i tam wszystkich razem rozstrzelali.***” . Przypominam sobie rzeczywiście, że dzień wcześniej od strony południowej, właśnie od Jaworówki słychać było strzały, a potem ludzie stamtąd uciekali na nasze lasy. Poczta ustna jest w tej sytuacji niezawodna, ludzie

przekazywali sobie, że Ukraińcy wymordowali już kolonię Jaworówka. Na ten czas były to jednak nasze domysły i przygodne słuchy, teraz okazało się, że to straszna wołyńska rzeczywistość.

Po ciężkich trudach obszarpani, zamoczeni, rano 22 sierpnia 1943 r. osiągnęliśmy przedmieście Włodzimierza Wołyńskiego. Cała trasa naszego przejścia wyniosła 30 km. We Włodzimierzu Wołyńskim grupa nasza rozeszła się i każdy na własną rękę, szukał jakiegoś przytułku. Natomiast ja z Czesławem Życzko za pośrednictwem znajomych z konspiracji, dołączyłam do tworzącej się I Kompanii pod dowództwem por. „Piotrusia”. W tym czasie dowodził zgrupowaniem Bogoria – Biały, a następnie dowódca batalionu por. „Zajac”, dow. 27 Wołyńskiej DP major „Oliwa”, a po jego śmierci „Żegota”. Przysięgę składałam w sztabie, który mieścił się w Marianówce, u pana Rudnickiego w obecności por. „Piotrusia” i szefa kompanii sierż. Gustawa Kesnera ps. „Orlik”.

Po złożeniu przysięgi szef kompanii sierż. Gustaw Kesner przytulił mnie do siebie i powiedział: *„Kochana, ja ciebie znam od dziecka, ja miałem być twoim wujkiem. Znam całą twoją rodzinę i wiem, że chociaż jesteś jeszcze dzieckiem, to będzie z ciebie dobry żołnierz.”*. Powierzono mi utrzymanie łączności pomiędzy nowo tworzącym się oddziałem a aptekarzem ps. „Grot” we Włodzimierzu Wołyńskim. Pouczono mnie, jak mam się zachować w razie wpadki: *„meldunek mam zjeść”*. W trakcie mojej pracy, zachowywałam wszelką ostrożność. Po przybyciu do apteki wejściowa furta, była zamykana, a okna szczelnie, były zasłaniane przez aptekarza. Byłam także łączniczką, pomiędzy sztabem a Węgrami, z którymi przeprowadzano transakcję wymienną: broń za żywność w miejscowościach Dubniki i Marianówka. W Marianówce właśnie w trakcie podawania żołnierzom posiłku, poparzyłam sobie ręce, te ślady noszę po dziś dzień. W lasach Szkich po odejściu kapitana „Gardy” – przez front dołączyłam do Kompanii łączności, z którą przeprawiłam się przez rzekę Bug z 09 na 10 czerwca 1944 r.

Na Lubelszczyźnie pełnię służbę nadal w sztabie 27 Dywizji jako łączniczka, aż po dzień 25 lipca 1944 r., w którym to dniu nasza 27 Wołyńska DP AK została podstępnie rozbrojona przez Sowieców. Nie mając warunków do życia, a zarazem nie mając możliwości powrotu w swe rodzinne strony udałam się jak wielu innych Wołyniaków do Lublina. Niestety w Lublinie zostaję aresztowana przez Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. **Tam też w Lublinie przechodzę badania śledcze i okrutne tortury za przynależność do Armii Krajowej AK. W dniu 19 listopada 1944 r. zostałam przewieziona do więzienia na Zamku Lubelskim, gdzie prowadzono dalsze dochodzenie i poddawano mnie torturom.** Z powodu utraty zdrowia i ogólnego wyczerpania organizmu w dniu 20 stycznia 1945 r. zostałam zwolniona z więzienia na Zamku Lubelskim.

Po wyjściu z więzienia odnalazłam swoją dalszą rodzinę, u której czasowo zatrzymałam się. Następnie odnalazłam swego przyjaciela Czesława Życzko, z którym zawarłam związek małżeński i postanowiliśmy wyjechać na zachód do miejscowości Czaplinek, gdzie zamieszkujemy do obecnej chwili. Mój mąż Czesław podjął pracę w resorcie łączności, natomiast ja podjęłam pracę w Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, jako ekspedientka, gdzie pracowałam do przejścia na emeryturę w 1982 r. . Mamy pięcioro dzieci oraz wnuki i prawnuki.

Helena Życzko ps. „Pszczółka”

Wspomina Władysław Życzko ps. „Zgrzyt”

Nazywam się Władysław Życzko ps. „Zgrzyt”, syn Franciszka i Apolonii z domu Marecka. Urodziłem się 21 sierpnia 1894 r. w miejscowości Żdzary gm. Grzybowica, pow. Włodzimierz Wołyński, woj. Wołyńskie. Narodowość polska,

wyznanie rzymsko-katolickie. Rodzice moi wywodzili się z rolnictwa. W wieku dorosłym mój ojciec Franciszek Życzko zdecydował się zamieszkać w miejscowości Przygałówce i pracować, u wielkiego kupca Żyda o nazwisku Szapira, który to zakupił lasy Kohyleńskie, ciągnące się od Włodzimierza Wołyńskiego, aż do Swojczowa. Ojciec mój pracował, u tegoż kupca Szapiry jako brakarz – leśny fachowiec. Rodzina nasza składała się z rodziców oraz pięciorga dzieci w tym: Józef, Władysław, Szymon, Ludwik oraz siostra Jadwiga. Będąc przy rodzicach pomagamy w gospodarstwie domowym i rolnym, a w sile wieku pracujemy w lesie jako robotnicy leśni.

Podczas I wojny światowej 1914 -1918, podczas powstania Legionów Józefa Piłsudskiego, byliśmy ochotnikami w tym: Józef, ja Władysław oraz Szymon. Natomiast Ludwik był za młody. Po zakończeniu wojny i zdemobilizowaniu się z wojska, w kraju powstaje okres stabilny. W tym czasie postanowiłem rozpocząć swe życie rodzinne. W 1920 r. zapoznałem swą żonę Rozalię Wrońską, sierotę wychowaną przez panią Rutkowską. Ponieważ osobiście nie posiadałem żadnego majątku, z tych też względów postanowiłem Rózię Wrońską poślubić. Związek małżeński zawarliśmy w kościele w naszej parafii w Swojczowie. Sam kościół był pięknie wybudowany na gruntach kasztelanki Ledachowskiej, które to podarowała pod budowę świątyni w Swojczowie. Po zawarciu związku małżeńskiego postanowiliśmy wspólnie z żoną zakupić grunty orne 11 ha na kolonii Kisielówka. Tam zaczęliśmy budować mieszkanie oraz zabudowania gospodarcze, zakupiliśmy także inwentarz spustu rolnego. Grunty były zakupione od hrabiego Ledachowskiego, ponieważ wcześniej do niego należały.

Czasy były bardzo ciężkie, pracowaliśmy ponad siły. W 1921 r. urodził się nam syn Czesław, w roku 1925 drugi syn Feliks, a w roku 1929 ostatni syn Longin. W tymże czasie będąc młodym człowiekiem o zakorzenionym patriotyzmie, należałem do organizacji „Krakusy”, było to w roku 1928. Związek nasz powstał we Włodzimierzu Wołyńskim oraz obejmował przyległe tereny. Nasze dorastające dzieci uczęszczały do szkoły we wsi Tumin, odległej od kolonii Kisielówka 2 km, a w wolnych chwilach pomagały nam w gospodarstwie. Polacy i wogóle mieszkańcy Wołynia byli zżyci ze sobą, żyli w wielkiej przyjaźni nie zwracając uwagi na narodowość i pochodzenie. Obok siebie żyli w naszych stronach: Polacy, Ukraińcy, Żydzi, Niemcy i Czesi, wszyscy razem chodzili do szkoły, bawili się, ucztowali, powstawały nierzadko mieszane rodziny. Ale oto nieuchronnie zbliżał się do naszych domów i rodzin czas strasznej, demonicznej w swych rozmiarach II wojny światowej.

BANDEROWCY SZYKUJĄ ROZPRAWĘ Z POLAKAMI

W 1938 r. syn Czesław wstąpił do małoletniej Szkoły Podoficerskiej 24 pp Łuck, z którym we wrześniu 1939 r. bierze udział w wojnie obronnej, jak wiadomo przegranej. Żołnierze wracają do domów, Ukraińcy zaczynają rozbijać polskich żołnierzy powracających z Kampanii Wrześniowej. Po powrocie i mojego syna Czesława w końcu września z frontu do domu, powstaje silna ukraińska organizacja, która z czasem organizuje bandy ukraińskie na naszych terenach. Jak się później miało okazać zadaniem tej organizacji, było wymordowanie polskiej ludności. Póki co w 1940 r. rozpoczęły się wywózki rodzin polskich na Daleki Wschód i na Syberię. Dla obrony interesów polskiej społeczności powstała podziemna organizacja Związek Walki Zbrojnej (ZWZ), przemianowany później na Armię Krajową (AK). Do tej organizacji należałem wraz z synami Czesławem i Feliksem, do ich szeregów należeli także: Waclaw Pogorzelski, Stanisław Ferenc, Bronisław Nieczyפורowski, Konstanty Zymon, Stanisław Łachowski oraz wielu innych kolegów.

Niestety sytuacja w naszych stronach i na Kresach z każdym dniem stawała się, coraz bardziej niebezpieczna. **Policja ukraińska współpracując z Niemcami**

tropiła polską ludność. Był to okres grozy, nikt nie liczył się z polskim Narodem. Powstają aresztowania bez żadnych uzasadnień. W miesiącu kwietniu 1942 r. zostaje aresztowany przez policję ukraińską mój syn Czesław i wywieziony od obozu w okolicy Boroczycy. Po dwóch tygodniach, udaje mu się zbiec i nocami powraca do swojego domu rodzinnego w Kisielówce. Tutaj musi się ukrywać i tylko nocami opuszcza schronienie, z całą rodziną spotykamy się w schronie. W dniu 27 maja 1942 r. za pomstę niemożliwości schwywania syna Czesława, zostaje aresztowany przez policję ukraińską mój drugi syn Feliks i wywieziony w nieznanym nam kierunku. Od zimy 1942 r. , co mądrzejsi Polacy byli wychwytywani przez Ukraińców, a potem ginęli w nieznanym okolicznościach. Dopiero po pewnym czasie przyszła wiadomość, że mój syn Feliks znajduje się w Niemczech, w obozie pracy w miejscowości Zelów. Będzie tam przebywał, jako niewolnik, aż do chwili wyzwolenia przez Armię Czerwoną w dniu 19 kwietnia 1945 r. .

My tymczasem przeżywaliśmy na Wołyniu dni tragedii i goryczy, w tych dniach i miesiącach człowiek, bał się swego cienia. Ja pracuję w dalszym ciągu w swej miejscowości Kisielówka w konspiracji. W zieloną sobotę 1943 r. w trakcie zachodu słońca nasz dom, zostaje otoczony przez uzbrojonych napastników ukraińskich z zamiarem schwywania mego syna Czesława, ukrywającego się po ucieczce z obozu Boroczycy. Część oprawców otoczyła całe zabudowania, a drudzy wchodząc do pomieszczeń, wyposażeni w broń automatyczną z pogrózkami domagali się bym wydał, gdzie obecnie przechowuje się mój syn Czesław. **Po zdemolowaniu całego mieszkania syna nie znaleziono. Zaczęto mnie torturować, bito mnie i kopano, abym wydał gdzie ukrywa się mój syn Czesław, czego nie uczyniłem. Po ciężkim pobiciu mnie przez oprawców, wciągnięto mnie na jeden z wozów**, a było ich ponad pięć wypełnionych oprawcami. Kazano mojej żonie Rózi, by przyniosła łopatę, a było wiadomo po co. W tym czasie konwój, wraz ze mną ruszył w kierunku wygonu, skręcając na lewo w kierunku lasu.

Wygon to była na 10 metrów szeroka, piaszczysta droga, służąca do pędzenia bydła na pastwiska z Tumina do lasu. Wieziono mnie przez całą kolonię Kisielówka, a w lesie skręcono na prawo, 50 metrów przed gajówką. Mieszkał tam gajowy Paweł Gnatiuk, został wywieziony wraz z rodziną na Sybir 10 lutego 1940 r.. Gdy oprawcy wieźli mnie przez kolonię Kisielówka, moja żona Rózia i syn Longin biegli za wozami. Słyszałem straszliwy płacz i lament, byliśmy rodzinnie związani. Po wjechaniu wozów do lasu, usłyszałem kilka serii z broni maszynowej, przyszła mi do głowy straszna myśl, że oprawcy załatwili moją żonę i syna Longina bowiem płacz i lament ustał. Nie dojeżdżając do gajówki wozy skręciły w prawo, w zarośla i tam zatrzymały się, **oprawcy ściągają mnie z wozu. Dano mi łopatę do rąk i kazano kopać dół o wiadomych rozmiarach. W trakcie kopania dołu odebrano mi pamięć, drżałem z bólu i pobicia, ale zdałem się na Boską pomoc.** W tym czasie zapadł zupełny mrok, a ja kopiąc dół widzę, że oprawcy pomiędzy sobą o czymś rozmawiają. W tym momencie jeden z oprawców podchodzi do mnie, a dół miałem już wykopany prawie na pół metra głębokości i mówi do mnie: „*Skidaj czobuty!*” – znaczy: „*Zrzucaj buty!*” . Zatem postanowiłem odłożyć łopatę i zrzuciłem jednego buta, następnie drugiego buta i przekazuję swemu oprawcy, stojącemu nade mną. **W tym momencie „coś” mnie pchnęło do przodu i „szepnęło” do ucha: „Uciekaj, bo i tak śmierć!”.** Zrobiłem skok do przodu, następnie w zaroślach skręciłem w bok. **Zaczęto strzelać w moim kierunku, po czym zmieniłem kierunek i w ten sposób udaje mi się uratować moje życie, dzięki Boskiej Opatrzności.** Tą tragedię trudno opisać, zrozumieć oraz w nią uwierzyć. Pragnąłbym, aby moje młode pokolenie takiej tragedii nie przeżywało.

Po ucieczce od kul oprawców, gdzie uniknąłem tragicznej śmierci opanował mnie zupełny obłęd, nie wiedziałem także, co się dzieje z moją żoną i synem Longinem, całą noc błąkałem się po lesie, nasłuchiwałem. Położyłem się w zaroślach, by nieco odpocząć, a w międzyczasie opatrywałem swoje pokaleczone nogi, kawałkami swojej koszuli. Ponieważ byłem do pasa mokry dostałem dreszczy, a przebywając w lesie, dopiero nad ranem zorientowałem się gdzie jestem, pomimo że las ten był mi dobrze znany. Przez cały dzień ukrywałem się w tym lesie, dopiero na drugą noc spotkałem się z żoną i dziećmi. Do własnego domu podkradałem się jak pies do własnej budy. Czołgałem się do wybudowanego schronu, tam właśnie było umówione nasze miejsce spotkania, gdzie spotkałem żonę i syna Longina. Natomiast syn Czesław w tym czasie ukrywał się w zaroślach. Po niecałej godzinie po odsunięciu desek, do schronu wsunął się syn Czesław, pomyślałem: „*Dzięki Bogu jest nas czwórka!*”. W tym czasie wszyscy Polacy na Wołyniu przeżywali taką samą tragedię. Wybudowane schrony nie były pewne i bezpieczne, gdyż oprawcy wyciągając Polaków ze schronów na miejscu ich mordowali.

DZIEŃ W KTÓRYM KOLONIA KISIELÓWKA ZOSTAŁA NAPADNIĘTA PRZEZ REZUNÓW, A LUDNOŚĆ POMORDOWANA

Lato 1943 r. na Wołyniu, także w naszych okolicach było bardzo krwawe, to „krwawe żniwa”. W tym czasie ofiarami ukraińskich nacjonalistów, coraz częściej padają, już nie tylko ważne osobistości, wojskowi, ale także kobiety, a nawet dzieci. W końcu dochodzi i do tego, że szeroką rzeką rozlewa się po naszej ziemi fala wołyńskich rzezi. Brutalnie mordowane są, całe wioski polskie, nie patrząc na wiek, czy to małe dziecko, czy starzec, rezuni zabijają bez pardonu wszystkich, od kolebki po starców. W niedzielę 11 lipca wyrznięto dosłownie cały Dominopol, ludzi pomordowano także na Rudni i w wielu innych miejscowościach. Mordowano wiernych nawet w Kościołach, podczas nabożeństwa, takie przypadki miały miejsce w Kisielinie i w Porycku.

Dzień 21 sierpnia 1943 r. stał się dniem tragedii mojego miejsca zamieszkania. W tym dniu nasza kolonia Kisielówka, została napadnięta przez rezunów. W trakcie napadu ludność polska ucieka z ukrycia, sami nie wiedzą, co robić, gdzie się ukryć, gdyż przecież żyliśmy w tak przyjaznych stosunkach z Ukraińcami, zatem za co mają nas zabijać. Ludność polska uciekając z prowizorycznych schronów, chowa się w mniejszych laskach, zaroślach i tam pozostaje. Nagonka oprawców wyłapuje polską ludność i na miejscu uśmierca. Ludność polska nie może uwierzyć w to, że mordują znajomi, niektórzy tłumaczą sobie, że to wszystko minie, a nad ranem wrócą do swoich domostw. W tym czasie taka mentalność, była w Narodzie Polskim.

W trakcie napadu na naszą kolonię ukrywałem się na polu pod miedzą, gdy było już po wszystkim, w porze nocnej podczołgiwałem się do swojego domu, by zabrać swoją żonę i syna. Podjąłem bowiem decyzję, aby niezwłocznie uciekać do miasta Włodzimierz Wołyński. W trakcie czołgania się do swojego domu, najpierw sprawdziłem schron, który wybudowałem, jednak nie spotkałem tam nikogo. Postanowiłem sprawdzić każdy zakątek, zrobiłem poszukiwania w ogrodzie, jednak też nikogo nie znalazłem. Mieszkanie było całkowicie splądrowane, jedynie chleb z pieca był nie wyjęty, a jego zapach rozchodził się po podwórzu. Wiedziałem o tym, że **żona miała nam upiec chleb, którego nigdy już nie wyjęła z tego pieca. W tym czasie postanowiłem opuścić swoje mieszkanie, wyjąłem obrazek, który mi żona przekazała przed moją tragedią, ucałowałem go i żegnając zostawiałem swój własny dobytek, dorobek całego życia.** Opuszczając swoje zabudowania natknąłem się na jakąś błakającą się sylwetkę. Był to sąsiad Władysław Mikulski, który również nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Postanowiliśmy, że pójdziemy do Wojnicy. Gdy

tam przyszliśmy w porze nocnej, zastaliśmy parę niedobitków polskiej ludności, z którymi przedostaliśmy się do miasteczka Łokacze, a po paru dniach dotarliśmy do Włodzimierza Wołyńskiego.

We Włodzimierzu spotkałem swojego syna Czesława, który opowiedział mi wszystko, jak schronił się w Czarnym Lesie. Tam właśnie zorganizował grupę niedobitków polskiej ludności, których następnie osłaniał wraz z kolegą Stanisławem Łachowskim oraz Heleną Furtak i tak doprowadzili ich wszystkich szczęśliwie do samego miasta. W tym czasie posiadają broń palną. Mój syn Czesław opowiadał mi także swoje doświadczenia i przeżycia tragedii naszej rodziny i społeczności naszej kolonii. Otóż tej samej jeszcze nocy, przed wymarszem z Czarnego Lasu postanowił pójść do domu, aby zabrać swoją mamusię, czyli moją żonę Rozalię. Razem z nim poszedł Stanisław Łachowski z Czesnowki oraz Helena Furtak, wszyscy byli uzbrojeni w broń palną. Po wejściu do domu wszystko było splądrowane, szukali po wszystkich zakątkach oraz w schronie, jednak nie znaleźli żywej duszy, tylko chleb w piecu nie wyjęty. Z bólem serca pozostawił tak, cały nasz dorobek, do którego już nigdy więcej nie wrócił. W czasie powrotu do Czarnego Lasu napotkano Helenę Pętlicą, wraz z synem Heńkiem, siedziała pod krzakiem i płakała, gdyż mąż jej został zamordowany, ona zaś uciekła spod siekiery i z całą grupą przyszła do Włodzimierza Wołyńskiego. Obecnie mieszka w Metelinie w Hrubieszowskim.

Po spotkaniu z synem Czesławem w mieście wspólnie postanowiliśmy pójść na kolonię Kisielówka, aby odszukać być może ukrywającą się pozostałą część rodziny tj. żonę, syna Longina oraz Heleny rodziców. Koledzy syna tacy jak Waclaw Pogorzelski oraz Władysław Mikulski wyrazili zgodę na poszukiwania. Dlatego pewnej nocy wszyscy wybraliśmy się do kolonii Kisielówka, odległej od miasta 21 km. Po dokładnym przeszukaniu niestety nikogo nie odnaleziono. Po upływie jeszcze dwóch tygodni ponownie wybrał się syn Czesław z kolegami Waclawem Pogorzelskim i Władysławem Mikulskim na dalsze poszukiwania. Po ponownym przeszukaniu obejścia oraz zarośli nie natrafiono na żadną żywą istotę, jedynie w zakątkach leżały jakieś ubrania, woreczki, koce, poduszki, zabrudzona bielizna. W tym czasie syn postanowił udać się jeszcze na kolonię Świczówka, liczył że dowie się czegoś o naszej rodzinie u państwa Buchowieckich. Była to rodzina ukraińska, bardziej spolszczona. Tam właśnie ożenił się Piotr Przybyła z Kisielówki z Antosią Buchowiecką.

Zatem nocną porą weszli na podwórze, a tam bardzo zaczęły ujadać psy. Mój syn tak mi to potem opowiadał: *„Wówczas wyszła Antosia Buchowiecka i z zadowoleniem wita nas i pyta skąd przyszliśmy. Odpowiadamy, że z Włodzimierza Wołyńskiego w poszukiwaniu swych rodzin. Antosia przerywa rozmowę i prosi, by zabrać jej męża Piotra, którego przechowuje od dwóch tygodni pod podłogą mieszkania. W tym momencie wyskakuje matka Antosi czyli teściowa Piotra Przybyły i z wielkim krzykiem leci do sąsiada i krzyczy: „Lachi pryszły!”. Pan Przybyła w szybkim tempie wykaraskał się spod podłogi, był zupełnie sztywny. Jego żona Antosia ładuje w jakieś stare prześcieradło odzież, wiąże na cztery rogi i zawiesza na plecach Piotra. Z tym balastem Przybyła i my wymykamy się z tej zagrody, zanim powróci teściowa. Z bagażami tymi Przybyła nie mógł sobie poradzić, więc w drodze pomagaliśmy mu je nieść”*. Do Włodzimierza wracali inną drogą, poszedł syn do Chorostowa i nad torami dotarli z powrotem do miasta Włodzimierza. W przyniesionym bagażu przez Piotra Przybyłę, znajdowała się jesionka Heli oraz moje spodnie, które syn Longin niósł dla mnie do lasu. Z tego powodu powstało nieporozumienie, gdyż Piotr Przybyła tłumaczył się, że to dzieci chodziły po zaroślach i zbierały odzież po zamordowanych Polakach. Spodnie pan Przybyła przekazał dla mnie, a jesionkę dla Heli Furtak.

Przez całą drogę do miasta Włodzimierza Piotr Przybyła opowiadał kto, gdzie i w jaki sposób został zamordowany. Siedząc pod podłogą, u swej teściowej słyszał w tym czasie rozmowy oprawców. Słyszał wypowiedzi Marko z Tumina, który chwalił się wśród swoich kolegów oprawców, że: „*Obok Świeczówki, w małej kępcie lasku spotkał całą rodzinę Furtaków, którzy tam nocowali.....*”

(kiedy właśnie to pisałem, te wspomnienia 10 kwietnia 2010 r. , ten czas, ten moment jest już historyczny, było bowiem ok. 09.30 i w tym momencie zadzwonił do mnie Tadeusz Kepiński, przyjaciel ze Śląska, który tak jak my z Marysią, od lat mieszka i pracuje tu w Glasgow, dzwoni więc do mnie i mówi bardzo przejęty: „Sławko czy wiesz co właśnie wydarzyło się w Polsce, jaka tragedia się stała?!” Pytam się spokojnie, choć z lekkim niepokojem, co takiego Tadeusz? A on mówi: „Dziś rano w Smoleńsku rozbił się samolot z prezydentem Lechem Kaczyńskim i jego małżonką Marią na pokładzie oraz z wielu zasłużonymi dla Polski osobami, wszyscy zginęli, nawet ostatni prezydent na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski.” Gdy to posłyszałem nic właściwie nie mogłem powiedzieć, znałem Tadeusza od lat jako człowieka poważnego i uczciwego, dlatego nawet nie sprawdzałem na internecie. Przeprasilem tylko mówiąc: Tadeu dziękuję, że zadzwoniłeś i o tym powiedziałeś, pozwól że teraz się wyciszę ponieważ nie jestem w stanie rozmawiać, muszę się pomodlić w ciszy i pomyśleć. Tadeusz to zrozumiał i tak się rozłączyliśmy.

Przez ponad godzinę czasu leżałem krzyżem i modliłem się, myślałem o tym wszystkim co się stało i co może się jeszcze wydarzyć. W tym czasie dzwonił do mnie Robert Niemiec, moja mama Helena z Zamościa i żona Maria z pracy, również pytali się czy wiem, odpowiadałem krótko, że tak i rozłączałem się bowiem nie byłem w stanie rozmawiać z kimkolwiek, potrzebowałem czasu by ochłonąć. Gdy nieco doszedłem do siebie, napisałem tej treści sms i posłałem moim znajomym w Glasgow i w Polsce: „Witam – Naród który nie zna własnej historii jest Narodem bez przyszłości. – Jan Paweł II” A dalej pisałem w tym samym sms-sie: „Dzisiejsza śmierć prezydenta Polski Lecha Kaczyńskiego i jego żony Marii oraz blisko 100 najlepszych synów i córek naszej ojczyzny w drodze do Katynia i bardzo blisko samego Katynia – na zawsze związała ofiary ze sobą. Teraz już razem, zjednoczeni – mówią na cały świat, o tym co tu się stało: mówią, że tu jest Polska – w Katyniu – bo wolność i ojczyznę Krzyżem się mierzy. Pograżony w bólu i modlitwie Polak i historyk Sławomir Tomasz Roch”. Upłynęło wiele czasu zanim ponownie wróciłem do pisania wspomnień pana Władysława Życzko ps. „Zgrzyt”.

Póki co, wydawało się, że cała Polska zjednoczyła się na nowo, niestety tylko trzy dni później, Polacy spierali się czy Lech i Maria Kaczyńscy mogą spocząć na Wawelu, pisałem wtedy w sms-ach: „Decyzja metropolity Krakowa o spoczynku prezydenta Lecha Kaczyńskiego i jego małżonki Marii na Wawelu jest bardzo dobra! Uczynili oni bowiem bardzo dużo dobrego, trzeba by tu wiele pisać, kto ma wątpliwości niech sam przeczyta życiorysy. A śmierć prezydenckiej pary w służbie Polski była wprost bohaterska, wiążąc męczenników z roku 1940 i 2010 już na zawsze razem. Jako historyk dodam, że prezydent Kaczyński potępił nie tak dawno, w świetle majestatu swego Urzędu, dokonując się gloryfikację Stepana Bandery oraz OUN-UPA na Ukrainie. Zatem za wszystko, także za tą prawdę tak drogą Kresowianom niech spoczywają w pokoju.” Dokładnie tydzień po katastrofie samolotu w Smoleńsku inna wiadomość zelektryzowała dosłownie wszystkich, wielka chmura wulkanicznego pyłu nadciągnęła nad Europę i Polskę, paraliżując skutecznie ruch lotniczy. Pisałem i wtedy w sms-ach: „Mówią dziś wszyscy: to Znaki – pył wulkaniczny nad Polską!?! A ja wyczuwam, że to nic innego tylko popioły, które sypią się z nieba. Polacy – wszyscy posypmy głowę popiołem – tak słyszeliśmy w Popielec, a kto nie chciał tego uczynić, sam Pan nasz posypuje dziś z góry i jego oporną główkę, czy widzisz to człowiecze?! Sławko z Glasgowa”.)

A oto dalsza część przerwanych wspomnień Władysława Życzko ps. „Zgrzyt”:
.....gdy mnie zobaczyli wszyscy poklekali i zaczęli się modlić. Furtak zaczął mnie całować po rękach i prosił żeby im darować życie, wówczas zdenerwowałem się i mówię do niego: „Ty Polak ty Lach!” i klęczącemu Furtakowi rąbnąłem siekierą w łeb aż na „połowenu roztrysnęła”. To ostatnie określenie Ukrainca Marko znaczyło, że głowa nieszczęsnego Furtaka rozleciała się na pół. W ten sposób zostali tam zarąbani Andrzej Furtak lat 52, jego żona Franciszka lat 42, syn Eugeniusz lat 11, Czesława lat 9 oraz Longin Życzko lat 15. Kim był zatem, ów zbrodniarz Marko z Tumina? Po wywiezieniu gajowego Pawła Gnatiuka na Sybir, a było to 10 lutego 1940 r. Marko z Tumina zamieszkał w jego gajówce i tak został gajowym. Marko żył w przyjaznych stosunkach z Furtakiem, ponieważ Furtak był szewcem i stale

naprawiał mu buty, można więc powiedzieć, że te morderstwa popełnił z bardzo zimną krwią. Z przekazywanych informacji od Piotra Przybyły dowiedziałem się także, że moja żona Rozalia Życzko została zastrzelona w fasoli, w przydomowym ogrodzie, w trakcie pieczenia chleba, ponieważ piec letni znajdował się w zabudowanym ogródku przydomowym. Nadmieniam, że Piotr Przybyła od powstania Polski Ludowej zamieszkiwał w Hrubieszowie i tam pełnił funkcję wójta, będąc w stopniu podporucznika.

We Włodzimierzu Wołyńskim przebywałem zaledwie parę dni, gdyż udałem się do swojego rodzonego brata Ludwika, który mieszkał na kolonii Wodzinek w okolicy Bielina. Udałem się tam ze swoim synem Czesławem ps. „Orwid” i synową Heleną ps. „Pszczółka” i tam właśnie dołączyliśmy do nowotworzącego się oddziału. Dowódcą zgrupowania był por. „Bogoria”, a dowódcą I Kompanii p.por. „Piotruś”. Byłem w I Kompanii w drużynie Laskowskiego ps. „Zajac”, następnie dow. I Kompanii p.por. „Piotruś” przydzielił mnie do plutonu gospodarczego. W I Kompanii przebywałem: Marianówka, Strzeleckie, Wirów, Siedliska, Zamłynie, Jagodzin, Lasy Mosurskie i Szackie. Tam właśnie 21 maja pod dowództwem kpt. Gardy, dowódcy bat. Kpt. „Zajaca” udajemy się z całym 23 pp w kierunku Prypeci. W dniu 27 maja forsujemy rzekę Prypeć.

DRAMATYCZNE FORSOWANIE RZEKI PRYPEĆ

Przy podejściu i forsowaniu Prypeci widok był straszliwy, pełen grozy. W trakcie forsowania starałem się być w tyle, kierowałem się w kierunku kładki. **Obok mnie leżał nasz żołnierz z rozszarpaną buzią, o coś prosił i wołał, trudno było go zrozumieć, gdyż w tym czasie padały pociski. Widzę obok mnie p.por. „Piotrusia” swego dowódcę kompanii, który trzyma długi kij w rękę i mierzy głębokość wody. Na moment się odwróciłem, a gdy ponownie spojrzałem na p.por. „Piotrusia” on już tonął – to było straszne.** Po sforsowaniu Prypeci, po drugiej stronie rzeki widziałem osobiście kpt. „Gardę”, który w towarzystwie trzech oficerów rosyjskich prowadził rozmowę. Co się stało później z kpt. „Gardą”, trudno mi powiedzieć. Nie opodał widziałem dowódcę batalionu kpt. „Zajaca”, ale z nim nie rozmawiałem. Spotkałem również wielu znajomych, tak jak Józef Czerwiński, ale to byli młodzi żołnierze. W obozie w Kiwercach w czasie wydawania mundurów, spotkałem w moim wieku kolegę Sorokę, to właśnie jemu Ukraińcy zamordowali żonę i sześcioro dzieci.

Po miesięcznym pobycie w obozie w Kiwercach, po wkroczeniu wojska polskiego rozłonkowano nas na poszczególne jednostki oraz kompanie i skierowano nas w kierunku Warszawy. Po dłuższym czasie oczekiwania z wielkim trudem forsujemy Wisłę i wkraczamy do Warszawy. Ja wraz ze swą jednostką walczyliśmy na Mokotowie. Tu w Warszawie spotkałem Józefa Czerwińskiego, którego pamiętam jak w trzech przyjechali wozem konnym na Wodzinek. Z wojska zostaje zdemobilizowany w roku 1945, moim jedynym pragnieniem, było wtedy odszukać kogoś żyjącego z rodziny. W sierpniu 1945 r. odnalazłem swojego syna Czesława, który został zwolniony z więzienia na Zamku Lubelskim. Natomiast drugiego syna Feliksa spotkałem dopiero w 1947 r.. Okazało się, że znajdował się jako niewolnik w obozie w Niemczech w miejscowości Zelów, aż po dzień wyzwolenia 19 kwietnia 1945 r., a ponieważ pochodził z Wołynia i nosił odznakę OST, został wcielony do Armii Czerwonej i był zmuszony walczyć na froncie. Po zakończeniu wojny z cofającą się jednostką wojsk radzieckich, znalazł się na terenie Związku Radzieckiego. W dniu 01 lipca 1946 r. syn Feliks został zdemobilizowany z Armii Radzieckiej i po wielkich trudach powrócił do ojczyzny.

Tak oto kończą się moje wspomnienia, spisałem tę relację ponieważ czułem taką wewnętrzną potrzebę. Pozostawiam swojemu synowi swe wspomnienia, by po

mojej śmierci mógł ujawnić prawdę naszych przeżyć na Wołyńskiej Ziemi. Pozostawiam również obrazek Matki Boskiej Swojczowskiej, który w tamtych tragicznych dniach mojego życia, przekazała mi moja żona Różia. Ten obrazek chronił mnie w najgorszych sytuacjach mojego życia. Pozostawiam go Tobie synu Czesławie, niech będzie Twoim opiekunem do Twej śmierci. Amen.

Władysław Życzko ps. „Zgrzyt”

Powyższe wspomnienia Czesława i Heleny Życzko oraz ojca Władysława Życzko zostały spisane na podstawie wielu dokumentów i opracowań. Są to zatem osobiste wspomnienia pana Władysława Życzko ps. „Zgrzyt” z Wołynia, osobiste wspomnienia pana p.por. Czesława Życzko ps. „Orwid” z Kampanii Wzrzesniowej 1939 r. opublikowane w art. „Jeszcze Poska nie zginęła”, także osobiste wspomnienia pana Czesława z więzienia na Zamku Lubelskim 1944-1945, oraz luźne zapiski pana Czesława i pani Heleny Życzko ps. „Pszczółka” przesłane do zarządu 27 Wołyńskiej DP AK w Warszawie, znalazła się tu także osobista relacja pana Bronisława Nieczyporowskiego ps. „Krępy” z wydarzeń w Dominopolu 12 lipca 1943 r., oraz odwołanie Stanisława Łachowskiego ps. „Kamień” skierowane do Głównej Komisji Weryfikacyjnej przy ZG ZboWiD w Warszawie. Wreszcie są to także wspomnienia pana Czesława i Heleny Życzko z Wołynia, które osobiście opowiedzieli panu Sławomirowi Tomaszowi Roch w swoim domu w Czaplunku na Pomorzu w dniach od 25 do 30 marca 2004 r. Po opracowaniu całości w Glasgow w Szkocji zostały przesłane w niniejszej formie na ręce pani Heleny Życzko dla przeczytania i potwierdzenia prawdziwości i rzetelności zapisu.

P.S.

Powyższe wspomnienia zatem, zostały spisane już w roku 2004, aby rok później stanowić, pewnymi partiami, ważny rozdział książki: „*Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia*”, której drugą wersję ukończyłem w maju 2005 r. w Zamościu. Egzemplarze książki przesłałem do kilku ważnych archiwów w Polsce, w tym na Jasną Górę w Częstochowie oraz na Katolicki Uniwersytet Lubelski w Lublinie (na KUL w 2009 r., jako mój protest przeciwko nadaniu prezydentowi Ukrainy Wiktorowi Juszczenko tytułu doktora h. c.). Całość wspomnień w powyższym wymiarze, zostaje opracowana i ukończona siedem lat później: 25.04.2010 r. w Glasgow w Szkocji, w wigilię święta Matki Bożej Dobrej Rady.

Pozostaje w kontakcie z wieloma osobami z Polski, które wciąż nadsyłają swoje relacje i uzupełniają ważne informacje o losach swoich najbliższych, na których wspomnienia natrafili w Internecie. Osoby te mając dostęp do nowych, nieznanych mi jeszcze faktów, nasyłają bardzo cenne materiały, które ja uważnie zamieszczam w książce. I tak, z Bożą pomocą, wciąż rozrasta się, bezcenna praca: „*Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia*”, o losach mieszkańców katolickiej parafii Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Swojczowie, podczas ostatniej II wojny światowej.

Powyższe b. bogate i cenne wspomnienia Czesława i Heleny Życzko zostały opracowane po roku, po raz drugi, tym razem na użytek internetu. Zdaję sobie sprawę, że i to opracowanie nie jest jeszcze w pełni profesjonalne, ale na pewno bardziej dostępne dla potencjalnego czytelnika, a przez to, więcej użyteczne. Pragnę w ten sposób także, gorąco zachęcić wszystkich, żyjących jeszcze parafian ze Swojczowa i okolic, ale nie tylko, także z całego Wołynia i Kresów do spisania swoich wspomnień, przeżyć i doświadczeń z tamtych jakże pięknych, a potem jakże dramatycznych lat. Raz dlatego, by dziedzictwo i ciężka praca naszych przodków,

nigdy nie była puszczona w niepamięć, a dwa by Ci wszyscy, którzy pozostali tam już na zawsze, w końcu doczekali się choćby, prostego Krzyża katolickiego na swojej, jakże często zapomnianej już dziś mogile.

Z poważaniem
Mgr Sławomir Tomasz Roch